

447045

nie obcinac

Kazimierz Władysław Wóycicki

378

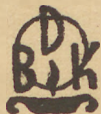
# KURPIE

powieść historyczna

Wydanie nowe

Stara piosenka, jak wino z Tokaja  
I serce zagrzewa i umysł upaja.

D. G. MAGNUSZEWSKI  
(konfederat).



1938

NAKŁADEM BIBLIOTEKI DOBRZYCH KSIĄŻEK  
Ł O M Ż A

BIBLIOTEKA DOBRYCH KSIĄŻEK  
WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

KIEROWNIK LITERACKI: A. L. SZYMAŃSKI

WARUNKI PRENUMERATY  
z przesyłką pocztową:

	w broszurze	w oprawie
kwartalnie	. zł. 2.50	zł. 4.—
półrocznie	. zł. 5.—	zł. 8.—
rocznie	. zł. 10.—	zł. 16.—

Cena pojedynczego tomu: zł. 1, — w oprawie zł. 1.60.

SKŁADY GŁÓWNE:

w Łomży — Biblioteka Dobrych Książek, Okrzei 13  
w Warszawie — K. T. W. „Kronika Rodzinna”, Podwałe 4

Redakcja i Admin. B. D. K.: Łomża, Okrzei 13

TOM XXXI      Ł O M Ż A      ROK 3

19      Czcionkami Druk. Diec. w Łomży      38

PRZEDMOWA.

Autor powieści historycznej „Kurpie”, Kazimierz Władysław Wóycicki, należy do wielce zasłużonych pracowników na niwie piśmiennictwa ojczystego.

Urodzony w r. 1807 w Warszawie, jako syn b. lekarza przybocznego króla Stanisława Augusta, kształcił się w rodzinnym mieście, uczęszczając do szkół księży pijarów, a następnie do szkoły przygotowawczej do instytutu politechnicznego na wydział chemiczny, jednocześnie zaś słuchał wykładów prawa i literatury w uniwersytecie warszawskim. Studia teoretyczne uzupełniał wycieczkami po kraju i ziemiach słowiańskich pobratymców, zbierając pilnie skarby podań, przysłów i pieśni ludowych.

Działalność pisarską rozpoczął wcześniej, gdyż w r. 1826 jako dziewiętnastoletni młodzieniec, a w dwa lata później w r. 1828 został już stałym współpracownikiem „Dziennika Warszawskiego”.

W r. 1830 wydał w trzech tomach owoc swoich studiów młodzieńczych dzieło, które zwróciło uwagę ogółu na swego autora „Przysłowia narodowe”. Za nimi poszedł szereg innych zbiorów, które utrwaliły imię Wóycickiego, jako skrzętnego i zamiłowanego zbieracza i badacza t. w. r. czości ludowej oraz dziejów literatury.

Jak szeroki zakres obejmowały badania Wóycickiego, to najlepiej wykazuje wyliczenie najważniejszych prac jego: „Pamiętniki Jana Kilińskiego (1830), „Pieśni ojczyste (1830), „Guślarz Gwardii Narodowej” (1830), „Kurpie” powieść historyczna (1834), „Pieśni Białochrobotów, Ma-

447045  
K. 2039 / 73



zurów i Rusi z nad Bugu" (1836), „Klechdy starożytne, podania i powieści ludu polskiego i Rusi" (1837), „Starożytne przypowieści z XV, XVI i XVII wieku" (1838), „Stare gawędy i obrazy" (1840), „Teatr starożytny w Polsce (1840), „Zarysy domowe" (1842), „Biblioteka starożytnych pisarzy polskich" (1843-1844), „Obrazy starodawne (1843), „Historia literatury polskiej w zarysach" (1845), „Domowe powiastki i wizerunki" (1846), „Statuta polskie króla Kazimierza w Wiślicy ułożone" (1847), „Jan Stefan Wydzga i jego pamiętnik" (1852), „Życiorysy znakomitych ludzi" (1850), „Latopisiec albo kronika Joachima Jerlicza" (1853), „Domowe powieści" (1853), „Cmentarz Powązkowski" (1855-1857), „Archiwum domowe" (1856), „Mazowieckie powiastki" (1858), „Silva rerum, staropolskie powieści" (1862), „Amerykanin", powieść (1869), „Szkiecy historyczne" (1869), „Niewiasta polska w początkach bieżącego stulecia (1875) itd. itd.

Gdy do tego dodać, że K. Wł. Wóycicki był od r. 1850 głównym redaktorem poważnego miesięcznika literackiego „Biblioteka Warszawska" i współredaktorem tygodnika „Kłosa", że nadto w całym szeregu pism innych zamieścił mnóstwo studiów historycznych oraz obrazów z życia polskiego lat minionych, to podziwiać należy niezwykłą pracowitość jego, którą słusznie uczczono dnia 15 maja 1876 r. uroczystym obchodem złotego jubileuszu działalności literackiej.

Zmarł K. Wł. Wóycicki w r. 1879, a choć sześćdziesiąt prawie lat dzieli nas od chwili jego śmierci, to jednak działalność jego jako historyka literatury a również i autora do dziś dnia nie straciła na swej wartości, o czym się sami Czytelnicy przy czytaniu „Kurpiów" najlepiej przekonają.

## ROZDZIAŁ I.

Było to w styczniu 1708 roku. Na małym kominku palił się ogień. Przy nim w głębokim, z wielką poręczą fotelu siedział stary Ordon i nucił psalmy Dawida, przełożone na polski język przez Jana Kochanowskiego z Czarnegolasu.

Śpiew jego był cichy, głos drżący. Był to 65-letni starzec. Towarzysz wypraw Jana Sobieskiego, pamiętający jeszcze wiele i z czasów Jana Kazimierza, bo w młodym wieku w husarskiej chorągwi Stefana Czarnieckiego służył.

Chociaż wiekiem zmęczony i siwizną okryty trzymał się jeszcze dobrze.

W długie, ciche wieczory lubił siadywać przy kominku w swojej sypialnej komnacie.

Pokój był skromnie urządzone. W rogu stało łożo nie puchem wstlane. Twardy materac przykrywała skóra łosia, a na niej rozciągnięta skóra niedźwiedzia. Pod głowę poduszka skórzana wypchana włosiem, a burka do okrycia uzupełniała całość.

Nad łóżkiem wisiały zabytki ubioru hu-



sarskiego—kord krzywy, zbroja, hełm ozdobny i skrzydło orle w srebro oprawne. Pod tym wielki krzyż hebanowy z Chrystusem Ukrzyżowanym i relikwiami św. Bonifacego.

W przeciwnym rogu komnaty stała mała szafeczka z cisowego drzewa snycerskiej roboty, gdzie ulubione księgi przechowywał Ordon. Tam w pergamin lub w skórę oprawne znajdowały się: kroniki Bielskich, pisma Górnickiego, Strykowskiego, zielniki potrzebne do domowej apteczki Marcina z Urzędowa, przekład tragedii Seneki, zbiory poezji Wespazjana Kochowskiego, pisma Reja z Nagłowic i wiele innych.

Na stoliku leżały otwarte *Metamorfozy* Owidiusza w przekładzie Chrościńskiego. Ulubione dzieło Orдона i dlatego, że żył w wielkiej przyjaźni z tłumaczem, który był przybocznym sekretarzem Jana Sobieskiego i sławnym wówczas poetą. Przez niego został przedstawiony Sobieskiemu, który ceniąc wielkie zasługi Orдона, ofiarował mu wioseczkę Jazdów, gdzie spokojnie resztę życia przepędzał.

Wystawił sobie tutaj dwór porządny, gdzie z kochaną małżonką Małgosią i dziećmi żył szczęśliwie i spokojnie.

Dokończył właśnie śpiewu pobożnych pieśni, gdy do komnaty weszła pani Ordonowa z córką, Zosią.

Matka zajęła się naprawą rogówki, a Zosia zamyślona przędła na kołowrotku.

Ciszę, która i tak już długo trwała, przeważa wreszcie pani Ordonowa, mówiąc:

— Cóżżeś taka zamyślona, moja Zosiu? Za Stasiem zapewne tęsknisz?

Na wspomnienie Stasia Zosia zarumieniła się i spuściła oczy.

— A bywało dawniej — mówił Ordon — toś matce i ojcu pośpiewała wieczorem, zabawiła, a teraz siedzimy wszyscy jak mruki.

Zosia w odpowiedzi na to zanuciła dawną piosenkę, którą jej matka śpiewała jeszcze za swoich młodych lat:

*„W niedzielę rano słońeczko wschodzi,  
Śliczna panienka w pole wychodzi  
Młęgo wyglądając, z radością go czekając  
Radaby go ujrzała”...*

Nie dośpiewała jeszcze pierwszej zwrotki, gdy Pokurecz głośno zaszczeakał na podwórzu.

Zosia zerwała się z krzesła i podbiegła do okna, żeby zobaczyć, kto przyjechał, ale drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł dawno spodziewany gość.

Był to Stanisław Telembski, dworzanin pani wojewodziny rawskiej, młodzian dorodny.

Przywitał się z matką i Zosią, która cała w ogniu stanęła i podszedł do ojca.

Jak żyjesz, mój Stasiu — rzekł stary Ordon, podając mu drżącą rękę na powitanie. Telembski pocałował ją z uszanowaniem.



— Cóż nowego przywozisz? Gdzie nasz król Najjaśniejszy?

— Wszystko złe, mój ojczu. Szwedzi znieśli wojska saskie w Inflantach. Już są niedaleko. Król August opuścił Warszawę i uchodzić musi.

— Jakto. Nie było nikogo, coby się oparł najeźdźcom, i przytarł im dumne rogi — zawołał z uniesieniem Ordon i sięgnął ręką jakby chciał szablę chwycić.

— Nikt im się oprzeć nie zdołał! Karol XII zajmuje Polskę, zwycięża. Sztandar Szwedów powiewa na murach Warszawy.

— O, tak, — rzekł z ciężkim westchnieniem Ordon — cała Polska czuje, że niemasz już Jana III. Nie takie on zastępy rozbijał swoją doświadczoną szablą. A teraz przed garstką najeźdźców wszystko pierzcha i ucieka...

— Z początku — mówił dalej Telembski — wszystko w Inflantach szło pomyślnie. Szwedów rozpraszano, zajmowano warowne twierdze. Zdawało się, że wszystko sprzyja zamierzonej wyprawie. Król duński, August i Piotr Wielki z trzech stron nacisnęli Szweda. Pokładano nadzieje, że młody, niedoświadczony, dziewiętnastoletni Karol XII nie potrafi stawić oporu. Były to jednak zwodne nadzieje. Karol pobił Duńczyków. Mając 7000 wojska rozbił 80000 Moskali pod Nar-

wą, teraz zwycięża Sasów i chce nam z tronu Augusta strącić.

— Więc do tej zuchwałości posuwa się najeźdźnik, że pozbawia korony tego, któregośmy wolnymi głosami, wolną wybrali elekcją? Cóż ma do tego za prawo? A może sam chce zostać królem jak Gustaw. Ale Gustaw znalazł zdrajców, którzy go popierali.

— Zapomniałeś, mój ojczu, że i teraz żyją zdrajcy. Oni namówili Augusta do rozpoczęcia tej nieszczęśliwej wojny i do niej zachęcali Karola.

— A cóż było powodem, że do tej walki skłaniano tak Najmiłościvszego Pana?

— Mówią, ojczu, że Stany Inflanckie przysłały 100000 talarów zdrajcom za pomoc.

— Rozumiem. „Szlachetne pobudki”. I będzie się przelewała biedna, polska krew. O, nieszczęśliwa ziemio polsko! Kiedyż Bóg do brotliwy litośnym na cię spojrzy okiem.

Otarł łzy starzec.

— Ta wojna ze Szwedami grozi nam zniszczeniem, a Najjaśniejszemu Augustowi utratą korony. Nie potrzebnie też było ją zaczynać.

Inflanty, wszystkim wiadomo, jak strasznie cierpiały pod żelaznym jarzmem Szwedów. Zubożeni podatkami, gnębieni niesprawiedliwością wysłali poselstwo do ojca dzisiejszego króla szwedzkiego, Karola XI, z prośbą, aby zechciał ulżyć ich doli. W tym



poselstwie odznaczał się Jan Patkul, Inflantczyk, który śmiało i z godnością wszystkie nieszczęścia swojej ojczyzny przedstawił. Karol nie rozgniewał się, pochwalił go nawet: „Mówiłeś dzielnie za swoją ojczyznę, szanuję cię za to. Broń swojej ziemi jak możesz”.

Ale skoro tylko wyszli kazał uwięzić wszystkich, skazano ich na śmierć i ucięcie prawej ręki. Wyroku jednak nie wykonano, bo król umarł. Gdy na tron wstąpił Karol XII ułaskawił wszystkich. Patkul, który już przed tym uciekł do Polski nie mógł korzystać z tej łaski i on to stale namawiał Najmiłościwszego Augusta, żeby Inflanty z pod jarzma Szwedów uwolnił. Wahał się długo August, ale zdołali go przekonać...

— A teraz nikogo do obrony Ojczyzny nie masz?

— Żyjemy jeszcze i ta ręka władna — zawołał z uniesieniem Telembki. — Niedługo spotka Szwed potężny opór i chyba po naszych trupach, choć krok dalej pójdzie. Wojska nasze gromadzą się zewsząd. Szlachta w sandomierskim ogłosiła konfederację, a każdemu kto nieprzyjacielowi Ojczyzny będzie pomagał śmierć mu nasze kordy zaniosą.

Z rozrzewnieniem przycisnął Ordon młodzieńca do piersi.

— Mój synu, widzę że prawdziwa krew polska w twoich żyłach płynie. Bij tak wrogów Ojczyzny jak i myśmy bili za ś. p. na-

szego, kochanego Jana, któremu niech Bóg udzieli światłość wiekiustą — i pochylił pobożnie głowę.

Tymczasem przygotowano wieczerzę. Ordon wsparty na ramieniu Telembkiego wszedł do jadalnej komnaty i usiadł przy swojej małżonce, a Zosia, siedząc przy ukochanym, cały czas wpatrzona było w jego piękne oblicze.



## ROZDZIAŁ II.

Wieczera dobiegała końca. Promienie zachodzącego słońca krwawiły się na szybach okien.

— No, mój Stasiu — mówił stary Ordon do Telebskiego — zapewne zabawisz z nami kilka dni.

— Nie wiem, ojczu. Radbym, radbym z całej duszy — spojrzał na Zosię. — Tak mi tu słodko i przyjemnie odpoczywać po trudach.

— Stasio jak zechce, to zatrzyma się u nas dłużej. Na dworze pani wojewodziny zapewne nie ma nic pilnego — rzekła pani Ordonowa.

— Moja matko w każdej chwili spodziewam się stamtąd listu. Nie wiadomo co się tam mogło wydarzyć. Pani wojewodzina nie jest podobna do wszystkich kobiet.

— Słyszałem o tym, że to dziwna białogłowa. Poluje jak mężczyzna, dzielnie kordem włada...

— I teraz go dobędzie—przerywając Ordonowi — zawołał w zapale Telebski—do-

będzie w obronie praw i obrażonego Maje-  
statu Najjaśniejszego Augusta. Jakbym sły-  
szał, że już odgłos trąb i kotłów na jej dwo-  
rze zapowiada wojnę, wojnę krwawą dla  
najeźdźców naszej ziemi.

— O, przyjechał jakiś posłaniec — zawo-  
łała Zosia, stojąc przy oknie — widać, że od  
znakomitej osoby, bo u słupa przy złotym  
kółku konia przywiązał.

Był bowiem stary zwyczaj w Polsce, że  
na podwórzu przed domami panów i znako-  
mitemj szlachty stał wkopany słup wysoki,  
przy którym znajdowały się trzy kółka że-  
lazne, srebrne i złote, do przywiązywania ko-  
ni. Do żelaznego przywiązywał lejce tylko  
wieśniak, u srebrnego szlachcic, a u złotego  
posłaniec znakomitego pana.

Zwyczaj ten zachował u siebie i Ordon.  
Chociaż kółko zamiast złotego było mosięż-  
ne, lekko pozłacane, ale nazywano je złotym  
i dlatego Zosia powiedziała, że posłaniec przy  
złotym kółku konia uwiązał.

W krótko do izby wszedł Jan Huczko,  
pachołek Telebskiego, szczególnie doń przy-  
wiązany, i z niskim ukłonem podał list.

— Od kogo? — zapytał zaniepokojony  
Telebski.

— Od Jaśnie Wielmożnej Pani.

Telebski oderwał pieczęć i szybko za-  
czął czytać:

„Po otrzymaniu tego listu, natychmiast



Waszmość pospieszysz do Myszyńca drogą jaką ci wskaże umyślny posłaniec”.

— A cóż się tam nowego stało? — zapytał pacholka.

— A Bóg wie, co się tam dzieje, Wielmożny Panie. Na dworze Jaśnie Wielmożnej Pani mnóstwo ludu zbrojnego się zbiera. Po wsiach uderzono na gwałt. W lasach wszędzie pozawalano drogi, nacięto drzew, pokopano rowy i wody w nich napuszczono, żeby utrudnić przejście Szwedom, bo słychać, że przez nasze lasy chcą przechodzić.

Wielu i z panów szlachty przyjechało na dwór mają czekać na jakiegoś wielkiego pana, czy starostę.

— Dobrze, mój Janie. Ruszymy prędko, okulbacz konie, niech wszystko będzie w pogotowiu.

Huczko z niskim ukłonem odszedł i pospieszył do stajni.

— To i pan Stanisław od nas odjedzie — rzekła zasmucona Zosia.

— Muszę. Obowiązek mnie wzywa. — Tyle tylko powiedział na swoje usprawiedliwienie, ale łzy w oczach świadczyły, że wiele go kosztuje to rozstanie.

— Ha, trudno. Komu w drogę temu czas — rzekł stary Ordon. Ja napiszę słów parę do Waszmości Benefaktorki. Zawsze była łaskawa dla Ordonów i Telebskich, jak i jej ś. p. małżonek. A wy, moje kocha-

ne, zaopatrzą Stasia na podróż w potrzebny prowiant,

Podniósł się ze swego krzesła i przeszedł do sypialnej komnaty, żeby napisać list. Pani Ordonowa poszła do spiżarni. Telebski zaczął uspakajać Zosię, która z żalu łez nie mogła powstrzymać.

— Moja Zosiu, nie płacz. Wszystko jest w ręku Boga. Bóg dozwoli to widzieć się jeszcze nieraz będziemy i żyć szczęśliwie.

Ale po różowych policzkach Zosi płynęły łzy jak groch.

— Nie płacz. Ja jestem twój i do ciebie powrócę. — A na potwierdzenie swoich słów pocałował ją w rozchylone od szloch usta.

Wreszcie Ordon przywołał go do siebie.

— Masz Waszmość list do Jaśnie Wielmożnej Wojewodziny. Wierzę, że łaskawym okiem przeczytać go raczy. Nie zapomnimy też o was, kochany Stasiu. Mój dom — waszym domem..

Telebski z uszanowaniem ucałował rękę Orдона.

Nadeszła i małżonka.

— No, już cię zaprowiantowałam. Masz dla siebie czworo kurcząt pieczonych, kawałek szynki, chleb, ser, świeże masło i pieczeń husarską, a dla pacholka dałam kilka półgasków.

Wyszli na podwórze. Huczko wyprowadził już konie ze stajni. Telebski pożegnał



rodziców i przybiegł do Zosi, która znowu zalewała się łzami.

— Bądź zdrowa, moja droga, moja ukochana, Zosieńko.

— Niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi, mój Stasiu. Ale mam takie złe przecucia, że się już nie zobaczymy. Weź to ode mnie. Może cię kiedyś Matka Boska od złego wypadku ustrzeże — i podała mu szklaplerz własnej roboty z Matką Boską Częstochowską.

Telembski ucałował Zosię, a nie chcąc pokazać, że i jemu na płacz się zbiera, dosiadł szybko rumaka, dał mu ostrogę i uchyliwszy czapki, pogalopował.

Zosia, ocierając łzy, które jej widok ukochanego zasłaniały, stała długo wpatrzona w drogę, wysadzoną lipami, w której znikł Telembski.

A Ordon z małżonką, żegnając go krzyżem świętym, błogosławili: „Niech go Bóg szczęśliwie i zdrowo prowadzi”.

### ROZDZIAŁ III.

Telembski zwolnił galopa, bo mu się bułanek dobrze spienił. Myśłami był jeszcze w domu Ordonów. Jechali stępa.

Pan Stanisław odwrócił się wreszcie do pacholka i zapytał:

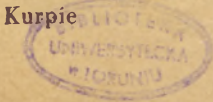
— A cóż tam więcej u was słyhać?

— Nic więcej, wielmożny panie. Spodziewamy się tylko, że ciężka będzie rozprawa z tymi Szwedami. Na dworze pan podstarości mówił, że jednak z Boską pomocą damy im radę. Nasz król, co teraz uciekać musi, powróci, a wtenczas każdego hojnie nagrodzi, o każdym pomyśli, co za jego sprawiedliwą stroną trzyma. Mówią, że do naszej Pani niedługo i sam król właśnie przyjedzie.

— A gdzie Pani Wojewodzina?

— Jaśnie Wielmożna Pani we dworze przyjmuje gości, a wino jak woda się tam leje. Kucharz Maciej wiele się napocić musi, to też i bez kija trudno do niego podejść.

— Przywieźli wiele prochu i rozdają go





strzelcom i Kurpiom, żeby sobie ładunków przygotowali. Każdy, jak mówią, teraz się stroi i zbroi.

Na Nowy Rok Pani wiele podarunków rozdała. Kasia mi mówiła, że dla Wielmożnego Pana też ma Pani zachowany. Ale to sekret. Na miłość Boga przecież mnie prosili, żebym nie mówił...

— Nie dotrzymałeś, mój Janie, słowa — rzekł z uśmiechem Telebski.

— Ale kiedy ja to nic nie mogę utaić przed Wielmożnym, Panem — odpowiedział z prostotą, skrobiąc się po głowie. Jak tylko co wiem, to nic nikomu nie gadam, ale panu muszę powiedzieć i wtedy dopiero lżej mi na sercu.

— Dziękuję ci, mój Janie! Wiem, że jesteś do mnie przywiązany — i podał mu rękę, którą Huczko ucałował.

— Ale żal mi było wielki panny Zosi — odezwał się po chwili. Biedny gołąbeczek, jak to niebożątko płakało. Widać, że mego pana kocha. O, bardzo kocha. I stare państwo także bardzo kochają. Dworska służba mi mówiła, że pana jak za syna swego uważają.

Telebski z rozrzewnieniem słuchał słów Jana i myślał o Zosi — „Dałby Bóg, żeby się spełniły ich życzenia”.

— To już dobrą milę od Jazdowa ujecha-

liśmy — zawołał Huczko. Widać czerwoną karczmę, a tam usłużny arendarz, trzebaby spocząć a konie siana trochę by zjadły.

— A ty byś się wódki napił!

Jan uchylił czapki z uśmiechem.

Stanęli przed karczmą. Pacholek wprowadził konie do stajni i kazał dać siana. Wychylił półkwaterek „szumówki” widać smacznej, bo aż splunął i wąsa podkręcił.

Telebski wszedł do izby napelnionej chłopstwem i żydami. Było też kilku szlachciców, wracających z kiermaszu.

Przy wielkim stole, zastawionym flaszami wódki i miodu, siedział we środku szlachcic Zaręba, przy nim młody Żałyński z pod Łukowa, Puchała z Częstochowy zajęci ważną rozmową.

W rogu siedział rozparty i kiwał się nad kwaterką wódki „pan majster”, — jak go wszyscy nazywali, szewc z Denkowa, który z zapalem wykrzykiwał, pięściami nawet chciał przekonywać innych, że jest najstarszym majstrem, bo z dziada pradziada jest szewcem, a drudzy mogą dowieść, że tylko ojców szewcami mieli.

Resztę stołu obsiedli wieśniacy już dobrze podpici i kilku żydów, wracających z jarmarku.

Telebskiego z wielkim uszanowaniem i uprzejmością przyjął arendarz, a żona jego wytarła ławę przy kominie fartuchem i grze-



cznie zapraszała do zajęcia miejsca. Usiadł i w milczeniu przysłuchiwał się temu gwarowi karczemnemu.

— A wiesz co, wasan — rzekł młody Załyński do Zareby — że to nie bajki. Ja przecież niedaleko tam mieszkam.

— Ja nie zaprzeczam temu — odpowiedział Zareba — ale byłoby głośniejsze o tym słychać.

— Daję, wasanu, rękę i przysięgam, że Szwedzi z Białej chcieli napaść na kościół pauliński w Leśnie. Leśno to mała wioseczka o milę położona od Białej. Klasztor wielki, murowany, organy ogromne, a piszczałki takie grube, że ja nawet jak wdzienę nowy kozuch w każdej bym się obrócić...

Słowa te bardzo zdziwiły wszystkich, a niejedną głowę kręcił niedowierzając. Nawet „pan majster” umilkł i spluwając co chwila powtarzał tylko uparcie: „to prawda, to prawda”. Załyński spostrzegł, że opowiadanie jego na wszystkich zrobiło wrażenie z większym więc jeszcze zapalem zaczął mówić dalej.

— Bogactwo w tym klasztorze wielkie. Bo to pan, szlachcic czy chłop nawet, doznawszy cudu składali kosztowne wota. Szwedzi mieli wielką ochotę to wszystko zagrabić. O zmierzchu ruszyli, żeby klasztor obrabować. I już byli niedaleko, aż tu na

grobli zastępują im drogę rycerze, wszyscy ubrani w białe żupany. Szwedzi spostrzegli ich uciekli.

Śmielsi z pośród nich przespali jednak noc w lesie, rano wpadli do klasztoru i dalej rabować, co się tylko dało. Ale na nic im się to nie zdało, bo niewidoma, jakaś ziemską siłą po jednym powyrzucała okna. Na pamiątkę tego wypadku wymalowano specjalne obrazy i każdy może je przecież obejrzeć.

— A dawno to było? — zapytał Puchala.

— Jeszcze kwartał nie minął — odpowiedział Załyński. — Przecież to niedaleko ode mnie, siedem mil drogi i nieraz tam na odpuście bywaliśmy.

— Nic dziwnego — rzekł Zareba podkreślając siwego wosa — toć przecież Matka Boska za mego ojca odpędziła najprzód Szwedów od Częstochowy, a później i z całej Polski. Może i teraz będzie naszą Patronką. Bo co źle idzie, to źle. Nasz król musi uciekać, Warszawę Szwedzi zajęli i nikt się tej „żelaznej głowie” \*) oprzeć nie zdoła.

— To kłamstwo! — zawołał z gniewem, siedzący dotąd w milczeniu, młody szlachcic. — Na „łeb żelazny” mamy kordy żelazne, mężne serca i pewne ręce! Pan starosta

\*) „Żelazną głową” nazywano króla szwedzkiego, Karola XII.



Śmigielski pokazał, że można bić i pobić Szwedów!

Wszyscy spojrzeli na niego. Był to młodzieniec, mający najwyżej ze dwadzieścia lat, wysoki, silnej budowy, przystojny. Ubrany był w granatową bekieszę, pod nią miał kaftan łosi i taki sam pas z dwoma pistoletami, przy boku wisiała krzywa augustówka. Na głowie karmazynowa konfederatka obszyta czarnym barankiem.

Zwrócił również uwagę Telembskiego, który doń podszedł i zapytał.

— Mój bracie, zapewne wiecie gdzie się pan Starosta obraca?

— Dla mężnych i poczciwych nie daleko, dla tchórzów i zdrajców za daleko.

Telembski porwał go za rękę i kilka słów powiedział mu cicho. Młodzieniec ochłonął z zapała, uchylił czapki i wyszli razem z izby.

— Co to za ptaszek taki opryskliwy? — rzekł Zaręba. Czy go nie znacie?

— Nikt go tutaj nie zna — odpowiedział arendarz.

— To prawda, to prawda — mruknął, spluwając pan Majster.

— Może to szpieg szwedzki — zawołał Puchała.

— To prawda, to prawda — mruczał znowu z kąta pan Majster.

Podejrzenie to jakoś wszystkim trafiło do

przekonania. Puchała, Załyński i kilku innych zerwało się od stołu i pobiegli do stajni.

Zerwał się żwawo i pan Majster, ale nie mógł się na nogach utrzymać i jak prędko wstał tak jeszcze prędyj musiał usiąść. Wyjął z kieszeni fajkę z krótkim cybuchem i pykając z niej, wygramolił się z trudem na środek izby, a dla dodania sobie animuszu zaczął podśpiewywać:

*„Nie wiecie chłopaki jak dziewczynę dostać:  
Skłonić się matuli, po gorzałkę postać”...*

Tupnął do taktu nogą w podłogę, stracił równowagę i potoczył się pod komin, skąd wystraszony przyglądał się wszystkim.

Tymczasem Załyński i ci wszyscy, co wybiegli do stajni wrócili.

— Uciekł nam ptaszek, uciekł — zawołał Puchała — wyslizgnał nam się z rąk.

— Cóż to za jeden ten drugi panicz, co mu tam po cichu tłumaczył do ucha — zapytał arendarza Załyński.

— O, to szlachcic taki dobry, jak i pan. On jest na dworze u pani wojewodziny rawskiej.

— To Telembski — dodał głaszcząc czuprynę Zaręba. Znamy się od dawna, ale paniczek shardział, jak się na dwór dostał, bo to powiadają, że u dwora nie popłaca cnota i pokora.



— To prawda, to prawda — odezwał się z pod komina już zasypiający pan Majster.

— Gońmy ich—zawołał po chwili Załyński—zawsze się prawdy jakoś dowiemy.

— Dobrze, dobrze — zawołał Zaręba, Puchała i kilku innych i ruszyli wszyscy do koni.

— To prawda, to prawda — zawołał z nimi Pan Majster i chciał razem biec, ale zwał się pod ławę i tam nareszcie spokojnie zasnął.

Słońce chowało się już za granatową ścianę lasu. Na polach było cicho. Nikt dzisiaj w świąteczny dzień przecież nie pracował. Gdziekolwiek tylko dało się spostrzec pasterzy, goniących bydło i owce do domu.

Telembski z nieznanym młodzieńcem jechali przodem za nim podążał Jan Huczko, któremu już i smutno się zrobiło, że nikt nie mówił.

Skorzystał więc z okazji i sam zaczął rozmowę.

— O, widać stąd jeszcze wieżę kościelną w Jazdowie.

Ale rozmowy nie udało się zacząć. Telembski spojrział w stronę kościoła, westchnął i opuścił głowę na piersi. Myślał o swojej Zosi kochanej, która tam teraz pewnie modli się za nim przed obrazem Najświętszej Dziewicy.

Młody towarzysz nie przerywał tej ciszy.

Gdy nagle wrzasnął Huczko, jak mógł chyba najgłośniej.

— Widzą panowie. Chyba z ośmiu szlachciców pędzi za nami.

Obejrzeni się z zaciekawieniem i spostrzegli jak podsiwiała Zaręba sadził naprzód na gniadym stępaku, za nim Puchała, Załyński i inni.

Telembski z towarzyszem zatrzymali konie.

— Stój, stójno, panie bracie — wołał zdaleka Zaręba.

— Stójcie, stójcie — krzyczeli inni i otoczyli ich w koło.

— Coś ty za jeden — spytał ostro Zaręba nieznanego młodzieńca.

— Tylko zdała i nie tykaj—odpowiedział zapytany.

— My musimy wiedzieć, co waszmość za jeden — rzekł już łagodniej Zaręba, widząc, że w ręku przeciwnika błyska dobrze wyostrzona szabla.

— Nie macie żadnego prawa o to mnie pytać — zawołał rozgniewany, młody nieznanomy! A ktoby śmiał mi drogę zastępować albo zbliżać się zuchwale to taką mu przypięię pamiątkę, że ruski rok nie lekko przeleży.

Telembski ujął się za swoim towarzyszem, dobył augustówki i groźnie zawołał:

— Precz mi z drogi! Czy to szlachta zastępuje czy rozbójnicy!

Huczko niewiele się namyślając dał koniowi ostrogę i uderzył w konia Puchały tak silnie, że ten spadł na ziemię. Najeźdźcy się rozstąpili, a Telebski z towarzyszem i pachołkiem wyjechali spokojnie.

— Niech ich diabli porwą. Było i poco jechać — rzekł Puchała, gdy go podnosili z ziemi.

— Mój bracie — odezwał się jeden ze szlachty — stare to przysłowie: nie kładź palca między drzwi, to palca ci nie przytną.

#### ROZDZIAŁ IV.

Odgłos trąb i kotłów rozlegał się daleko po mazurskich lasach, zapowiadając zbliżanie się zwycięskich oddziałów Karola XII.

Przystanął sławny w tych stronach myśliwy, Borowy, nadstawił ucha na te nieznajome dźwięki i w skupieniu przysłuchiwał się przeciągłym tonom, które w dal niesło echo.

— „Diabły czerwone” zaglądają w nasze strony. Ale nie jeden garniec krwi wytoczą z siebie Kurpie, nim zaczną płonąć nasze chaty. Dalej żywo — mówił sam do siebie — trzeba dać znać do dworu i naszych zawiadomić.

Znikł szybko w gęsto podszytym lesie. Niedługo wybiegł na pole i skierował się w stronę dworu, który zamieszkiwała wdowa po wojewodzie rawskim, Działyńska.

Dwór był drewniany, niepozorny. Nic nie mówiło o wewnętrznym bogactwie i przepychu. Otaczał go duży ogród o pięknych a pod linię posadzonych drzewach i trawnikach ozdobnych bukszpanem.

Wewnątrz zabłądzić można było w tych



komnatach, których ściany dekorowały piękne i gustowne tureckie lub perskie dywany.

Sala jadalna miała nad drzwiami chór, skąd orkiestra nadworna uprzyjemniała smakowite obiady i wieczerze.

W rogu stała na mahoniowych legarach spora beczka srebrna, napełniona węgryzmem z niej w czasie uczty każdy dowoli mógł sobie puchary nalewać.

Na ścianach wisiały portrety rodzinne i królów polskich. Między oknami tarcza szczerozłota, a na niej płaskorzeźba, przedstawiająca Jana Sobieskiego rozbijającego niezliczone zastępy Turków i Tatarów.

Inne komnaty cechowała naprzemian prostota z przepychem, a w alkowie tylko stał uważany za nadzwyczajną osobliwość wielki zegar z kukawką.

Pani wojewodzina siedziała smutna w głębokim fotelu. Przy wielkich drzwiach stał w milczeniu Telembski, przy nim młody nieznajomy, który bez prośnienia przysunął sobie krzesło i usiadł. Wojewodzina nie zwróciła na to zupełnie uwagi, Telembskiego bardzo to jednak zadziwiło.

Do komnaty weszło właśnie kilkunastu szlachciców za którymi wbiegł Borowy.

— Jaśnie Wielmożna Pani — zawołał — już są, już są. Przy „mogile upiora” ujrzałem „czerwonych diabłów”.

Jakby piorunem rażony porwał się młody

nieznajomy. Działyńskiej zabłysły ogniem czarne oczy.

— Na konie! Do broni! — wołała z zapamię — podajcie mi zbroję. Telembski naprzód! A waszmość — zwracając się do nieznajomego młodzieńca — wiesz już swoje stanowisko. Borowy do pierwszych zasieków. Otoczyć w koło. Bronić się do upadłego!

— Posłaniec nie wrócił?

— Nie, Jaśnie Wielmożna Pani, odpowiedział jeden z dworzan.

— A więc wybiła nasza godzina! Miejmy ufność w Bogu, a zwycięstwo do nas będzie należało.

\* \* \*

Karol XII na czele swojej zwycięskiej armii wszedł w lasy mazowieckie i zaledwie z pięć mil uszedł staję przed nim prosty Kurp.

— Czego on chce? — zapytał król, otaczając go szlachtę.

Kurp zdjął kapelusz słomiany ozdobiony czerwoną wstążką i tak powiedział:

— Przyszedłem tu od swoich, powiedzieć ci, królu, że jeżeli przyjmiesz te warunki, które ci podamy, to cię przepuścimy przez nasze lasy. Jeżeli ich nie przyjmiesz, to cię nie przepuścimy, choćby i bić się przyszło.



Roześmiał się Karol XII, gdy mu to przetłumaczono.

— Co ja z tymi chłopami bez butów paktuję mam zawierać? Precz mi z oczu! Powiedz swoim, że przy łunie ich chat będziemy się grzali, bo zimno teraz.

Kurp spojrzał złym okiem w stronę Karola i znikł w nieprzejrzanym lesie.

Nie upłynęło wiele czasu od tej rozmowy, a już idący w nieładzie regiment piechoty szwedzkiej został ze wszystkich stron tak gęstym ogniem ostrzelany, że musiał się cofnąć.

Niecierpliwy Karol każe maszerować naprzód. Ale na wąskiej drodze sił nie można rozwinąć, Szwedzi odważnie idą do ataku i prawie wszyscy giną.

Trzęsły się stare, odwieczne dęby od huku strzelb i wrzawy wojennej. Przebudził się ze snu las. Niedźwiedź wystraszony z legowiska uchodził z ponurym mrukiem, a dziki tur, potrząsając grzywą, zapienił brodę z gniewu i wściekłości, rzucał się w gęstwinię, a za każdym podskokiem chrząst łamanego drzewa i huk strzelby nieraz zagłuszył.

Widząc tak niespodziewany opór, Karol XII zsiadł z konia, idzie sam w pierwszym szeregu i odwagą swoją zagrzewa żołnierzy. Zdobyli jeden szaniec, zrobiony z pościanych drzew, z za których Kurpie celnym ogniem ich razili.

Niewielkie to było zwycięstwo. Kurpie oddali jeden szaniec, ale niedaleko mieli taki sam drugi przygotowany. Zdobyć tego pierwszego szanieca pozwoliło Karolowi rozwinąć swoje wojsko — mógł teraz walczyć i piechotą i jazdą i mogły go wspierać działa.

Nie pomogły przeważające siły szwedzkie. Kurpie bronili się dzielnie. Im groźniejszy atak, tym zaciętszy opór. Pociski działa łamały drzewa, szwedzka piechota atakowała raz po raz — wszystko bez skutku.

Tymczasem Działyńska wszędzie zdążyła, widziano ją zawsze w najbardziej niebezpiecznych miejscach.

— Jeszcze trochę cierpliwości — wołała — a ani jeden Szwed żywy nie ujdzie.

I oto za chwilę cały las zatrzęsł się od groźnych okrzyków. Szwedzi zrozumieli, że są otoczeni.

W tym czasie Telebski uderza ze swoimi ludźmi na działa i po krótkiej walce zdobywa. Chciała je odbić nieprzyjacielska jazda, ale rozbita ucieczką ratować się musiała.

Telebski omal nie stracił tutaj życia. Zatakowało go dwóch nieprzyjacielskich jeźdźców i ten będący z tyłu już miał mu zadać śmiertelny cios szablą, gdy zwałił się na ziemię trafiony kulą w pierś. Ten zbawczy i celny strzał był z ręki nieznanego młodzieńca.

Szwedzi naciskani ze wszystkich stron



bronili się rozpaczliwie, ale bezskutecznie. Karol XII raz poraz zachęcał żołnierzy do ataku, wreszcie sam ruszył, ale koń ugodzony strzałem pada pod nim, a z nim spadł na ziemię postrach tylu narodów.

Zwycięstwo było zupełne. Cała prawie armia szwedzka została wybita.

Ale w tejże chwili dają znać Wojewodzinie, że około tysiąca Szwedów opanowało Ostrołękę i umacnia się na cmentarzu kościelnym.

Działyńska zostawia na miejscu Telembskiego jako dowódcę, a sama wraz z nieznanym młodzieńcem pospiesza z małym oddziałem ku miastu. Na czele Kurpiów marszerował Borowy.

Po dwumilowym marszu zatrzymano się na odpoczynek. Była już północ, rozpalono ogniska. Działyńska zmęczona trudami całego dnia odpoczywała pod rozłożystym dębem.

Niezajomy młodzieniec usiadł przy najbliższym ognisku i pogрузzył się w głębokiej zadumie.

Cisza była nadzwyczajna. Zmęczony jakby całodziennym hałasem walki las chciał odpocząć.

Borowy, grzejąc się przy ognisku, rozprawił zawzięcie o wczorajszej walce, gdy na pobliskim drzewie ktoś głośno się roześmiał.

— W imię Ojca i Syna! — zawołał prze-

rażony. Przeżegnał się krzyżem świętym, splunął trzy razy.

— A idź swoją drogą, diabło i nie kuś mojej poczciwej, katolickiej duszy.

Ale śmiech trwał ciągle, a Borowy obawiał się spojrzeć nawet w tamtą stronę.

Noc latem krótka. Zaczęło powoli świtać.

Wojewodzina dała znak i ruszono dalej.

Narew przepłynął oddział na specjalnie przygotowanych łodziach i zbliżono się pod samą Ostrołękę.

Szwedzi na cmentarzu kościelnym mocno się obwarowali. Drzwi pozawalano. W oknach porostawiano dobrze strzelających strzelców finlandzkich. Cały cmentarz ubezpieczono gęstymi czatami, które nie pozwalały na zaskoczenie. Dowodził nimi stary i doświadczony żołnierz płk. Rebinder.

Działyńska zorientowała się w sytuacji i doszła do wniosku, że walkę tutaj trzeba będzie stoczyć otwartą.

Kurpie nie pozwolili jej się długo zastanawiać, nie czekając na rozkaz ruszyli naprzód i od razu zbliżyli się pod same mury, których jednak łatwo sforsować nie mogli.

Widząc to Działyńska wydała rozkaz, aby wynoszono słomę i zboże z sąsiednich stodoł i dopiero po tych ułożonych snopkach, jak po drabinie, udało się im dostać na drugą stronę.

Kurpie



Ale za nim zdobyli cmentarz wielu stracić musieli swoich i wielu zginęło Szwedów.

Do drzwi kościelnych pierwszy dopadł Borowy i paru silnymi uderzeniami topora wywarzył je. Kurpie ze wszystkich stron wpadli do kościoła. Który Szwed nie zginął, dostał się do niewoli.

Rebinder potrafił jakoś z kościoła się wymknąć i już zaczął uciekać poza murami, ale spostrzegł go Borowy, dopędził, rozbroił i do Wojewodziny przyprowadził.

— Jaśnie Wielmożna Pani, przyprowadziłem tu Szweda, co się chciał wymknąć jak piskorz, ale go schwytałem. Widać, że to jakiś starszy.

Działyńska bardzo uprzejmie przyjęła pułkownika, co niezmiernie zdziwiło Borowego, który mu po drodze nie żałował pięści.

— Panie pułkowniku — rzekła — rozumiem pana położenie, ale los wojny zawsze jest niepewny. Wczoraj to sprawdził na sobie Karol XII, dzisiaj doświadcza pan.

— Jaktó — zapytał ze zdziwieniem Rebinder — więc mój król niezwyciężony...

— Zwyciężony został — dokończyła Działyńska. Jeśli nie wierzysz, oto trofea — wskazała na pięć zdobytych sztandarów szwedzkich.

Poznał je Rebinder. Przybiegł i całując je ze łzami w oczach powtarzał: „Królu mój, nieszczęśliwy królu”.

Wojewodzinę wzruszył ten płaczący nad swoimi sztandarami pułkownik.

— Jesteś Pan wolny, gdzie zechcesz każe cię bezpiecznie odprowadzić.

— Chcę być tam gdzie mój król. Chcę z nim wspólny los dzielić.

Wasz król tam — odpowiedziała wskazując na niebo. Rebinder zakrył rękami oczy i szlochał jak małe dziecko.



## ROZDZIAŁ V.

Dopiero nadejście nocy pozwoliło przerwać Telembskiemu utarczki z niedobitkami Szwedów.

Karol XII sam przedzierał się przez gęstwinę leśną bez wojska, mając za towarzysza adiutanta swego, bardzo doń przywiązanego węgierskiego szlachcica.

— Niegodziwa droga — pomrukiwał Węgier i przeklinał zwyczajem swojego narodu.

Wydostali się na małe pole. — Karol zatrzymał się, poprawił swój pas bawoli, obejrzał pistolety i wskazał na prawo, gdzie błyszczało małe światełko.

— To świeci się u wieśniaka. Czy Jego Wysokość chce...

Karol odpowiedział, że nie pójdzie do chaty i kazał Węgrowi przynieść coś do zjedzenia.

Ten rzucił swą wyszywaną kurtkę pod sosnę na której usiadł zmordowany król i poszedł w kierunku chaty.

— Przekłęte zdarzenie — mówił sam do siebie Karol. Straciłem najlepsze pułki i któżby przypuszczał, że ci Kurpie, chłopcy bez bu-

tów, potrafią się tak dobrze bić i tak celnie strzelać. Ale oddam im to wszystko z nakładem i krwawo pomszczę tę klęskę.

Tymczasem Węgier zbliżał się do chaty. Zatrzymał się chwilę przed drzwiami, obawiając się zastukać. Zdobył się wreszcie na odwagę i uderzył kilka razy rękąjescią pałasa w odrzwia.

— Wszelki duch Pana Boga chwali. Kto tam? — odezwał się bojaźliwie głos kobiecy.

— To jestem ja. Niech raczą otworzyć drzwi — odezwał się łamaną polszczyzną Węgier.

— Jaśku, Jaśku pode drzwiami jakiś Niemiec stoi.

Jasiek wyjrzał oknem, a zobaczywszy Węgura zapytał:

— A wielu was tutaj?

— Jestem jeden, paniczku.

Jasiek otworzył drzwi i wpuścił nieznanego do izby.

Na kominie palił się wielki ogień. Pod oknami stała ława, przed nią duży stół nakryty białym płótnem i trzy misy. W rogu ściany obraz Matki Boskiej Częstochowskiej przybrany kwiatami i obraz Matki Boskiej Gidelskiej, na którym wieśniak wyorawszy cudowny wizerunek klęka wraz z wołami. Resztę ściany zdobiły wizerunki rozmaitych świętych. Na przeciwnej ścianie wisiała na



kołkach strzelba, torba borsucza i kordelas myśliwski.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odezwał się Węgier, nisko się kłaniając.

— Skąd Pan Bóg prowadzi? — zapytał Jaśko.

— Myśmy służyli u Szwedów. Nas dzisiaj pobili i my uciekli. A teraz przyszliśmy prosić, czy czem nie pożywilibyście biednego człowieka.

— Dobrze wam skórę wytrzepaliśmy, nieprawda — rzekł śmiejąc się Janek. — A wasz król dobrze zmykał, jak zając przed chartami. Schował się gdzieś pewno i sobie śpiewa:

*„Skrył się zając pod miedzą,*

*Myśliwi o nim nie wiedzą”.*

— Ale niedługo i jego złapiemy. No cóż robić? Dajcie no matulu gorzałki. Napijecie się panie żołnierzu?

— Napije się, napije, bo dziś wielkie zimno.

Małgorzata postawiła na stolę flaszkę wódki. Rozweseliła się twarz Węgra. Nalał kubek i wychylił od razu. Siadł przy kominiem i grzejąc ręce nad ogniem, mówił:

— O, tu jest bardzo dobrze, ciepło, wiatru nie wieje.

Jaśko tymczasem przyglądał się jego ubiorowi, a każdy w nim szczegół uderzał go mocno.

Miał na sobie jedną kurtkę wdzianą na rękawy, wyszywaną w różne wzory czarnym sznurkiem. Druga taka sama zwieszala się mu z lewego ramienia. Spodnie obcisłe, także wyszywane, buty krótkie ze srebrnymi frendlami na wierzchu. Pas skórzany, długi pistolet i prosty pałasz. Na guziku od kurtki wisiał worek do tytoniu z białej skóry, haftowany w różne kwiaty jedwabiem. Za cholewą węgierska fajka z krótkim cybuchem.

— Ale oni dobrze strzelają — rzekł po chwili Węgier.

— Wszyscy Kurpie tak umieją strzelać i wasz król napewno zginąłby, gdyby z diabłem sprawę nie miał.

— Nasz król jest przecież dobry katolik.

— Co mi mówicie ma taki pas od diabła i dlatego go się kule nie imają. Ale nasz Borowy wystarał się o srebrny guzik\*), a tym nietylko Szweda, ale i samego diabła zabije.

Przed chatą dały się słyszeć rozmaite głosy. Węgier zaniepokojony sięgnął się do pasa po pistolety.

— Otóż idzie nasz ojciec i Borowy — zawołał Jaśko.

Do izby wszedł najpierw Stanisław Bąk,

\*) Powszechny był wówczas przesąd między ludem polskim, że diabła, sprowadzającego wielkie nieszczęście na ludzi, zabić można srebrnym guzikiem, celując ze strzelby od prawego oka.



ojciec Jaśka, a za nim olbrzymiego wzrostu Borowy.

Ubiór mieli na sobie jednakowy. Okrągłe kapelusze na głowach, spodnie opięte, kurpie na nogach, na ramionach gunie kawowego koloru, podobne do góralskich, na nich torby borsucze i strzelby. Borowy miał przy boku szeroki kordelas.

Zdziwiła ich obecność nieznanego.

— Co to za Niemiec, Jaśku—spytał surowo Borowy.

— Jakieś poczciwe chłopisko, umie nawet trochę mówić po polsku. Służy teraz u Szwedów, a mnie prosił o schronienie.

— Trzebaby jemu karku nakręcić jak i tamtym. Ale o gościnność prosi więc jest bezpieczny, bo jakbyśmy się spotkali w innych warunkach to nie miałby czasu krzyknąć — Jezus Maryja — a jużbym go zdusił. Gdzie was jest więcej?

— Druh mój się został w lesie.

— A dlaczego nie przyszedł?

— Jak zezwolicie to przyjdzie.

— No, ruszaj do niego i powiedz, niech przyjdzie. Niech się niczego nie lęka. Wystrzelaliśmy dosyć Szwedów, sam król uciekł, a na takich biedakach jak wy mścić się nie będziemy.

Węgier skłonił się, nabił fajkę, zapalił i wyszedł, by sprowadzić do ciepłej izby Karola XII.

Stanisław Bąk zawiesił na kołku strzelbę i torbę, zrzucił gunię, i grzał się przy ogniu. Borowy podobnie się rozgościł a dobywszy z pochwy obosiecznego kordelasa powiedział:

— Patrzcie, Stasiu, jeszcze świeża krew po czerwonym diable\*), bronił się tego, alem go zakłuł jak wieprza.

— A nasza pani jak dzielnie dowodziła?

— Mało co Szwedów uszło. I dziwi mnie, że ci dwaj uciec mogli. Ciekawy jestem czy to nie jacyś ze starszyzny.

— Gdzie oni tam ze starszyzny — rzekł Jaśko — gdyby on był starszy toby mnie nie nazywał paniczem.

— To nic nie znaczy. Głupi zamorzec umie po polsku, a w strachu to i królem nazywałby ciebie.

— Bójka była wczoraj nielada. Coprawda i naszych dużo poległo. A widziałeś tego młodego na koniu, co był wszędzie najpierwszy. Jakbym go widział teraz — wysoki, błądy, nos duży, oczy wielkie. Wszyscy mówili, że to sam król. Strzelali nasi i strzelali, ale go żaden nie trafił i ja nabiłem strzelbę srebrnym guzikiem, zmierzyłem...

— I zabiłeś go? — przerwał Borowemu Jaśko.

— Wiem, że koń padł, ale on się zerwał.

\*) Tak nazywano powszechnie Szwedów.



Nie widziałem go potem. Żałuję, że go wziął za nisko, trzeba było wyżej, pod lewe zebro, a byłby nie wstał.

— No, bez pracy niema kołaczy. Napijmy się wódki — rzekł Bąk. Kujawa\*) przejął mnie do kości.

— Ale w ogniu ciepło było. Tam człowiek nie miał czasu myśleć czy kujawa wieje czy słońce praży.

Nalał sobie po tej przemowie szklanek szumówki Borowy i wlał odrazu w ogromne gardło.

Małgorzata krzątała się tymczasem koło wieczerzy. W dużym garnku nastawiła tartarczanej kaszy, osobno kartofle, a w rynce smarzyła kawał słoniny na omastę.

Jaśko w wielkim dzbanie przyniósł piwa i postawił na stole.

— Trzeba coś przygotować dla tych gości. Usmażcie Małgosiu kielbasy — rzekł Bąk — a ty Jaśku przynieś słomy, żeby się mieli na czym przespać.

Jaśko poszedł do stodoły i przyniósł do izby dwa wielkie pęki słomy, które rozesał na ziemi. Małgorzata już usmarzyła kielbasę i omaściła kaszę. Bąk położył na stół duży bochenek razowego chleba, a Borowy łyknął sobie jeszcze jedną szklanekę wódki. Wszyscy czekali na spodziewanych gości.

\*) Kujawa — zimny wiatr północno-zachodni.

## ROZDZIAŁ VI.

Węgier pośpieszał do miejsca w którym odpoczywał Karol XII. Co chwila oglądał się niespokojnie poza siebie, czy go kto czasem nie wypatruje. Nie miał nawet czasu wypalić swojej ulubionej fajki.

Noc jeszcze była. Księżyc w pełni oświecał las swoim bladym światłem. Nie długo stanął na miejscu.

— Najjaśniejszy królu — rzekł zdejmując swoją wysoką czapkę. Trafiłem na poczciwych wieśniaków. Tam będziemy musieli przenocować. Gazda dobry człowiek, prosił nas na nocleg.

Karol, nie mówiąc ani słowa, wstał. Węgier podniósł burkę rozesał na ziemi i szedł, wskazując drogę.

— Coś długo do diabła nie widać naszych gości — rzekł Borowy, nalewając sobie trzecią szklanekę wódki.

Widocznie gdzieś daleko zostawił swego towarzysza — odpowiedział Bąk.

— Ja zauważyłem, że ten zamorzec poszedł w kierunku „mogiły upiora”.



— Święta Magdaleno — zawołała Małgorzata — on stamtąd zdrowo nie wyjdzie. Przecież to godzina o której upiór zwykle z mogiły wylazi — i odstąpiła bojaźliwie od komina, oglądając się wokoło.

— Pan Bóg z tobą, moja Małgosiu — powiedział Stanisław — w chacie nie macie się czego obawiać. Przecież drzwi nie przestąpi, bo na nich krzyż kredą święconą napisany odstrasza przeklętych.

— Uspokojona Małgorzata warząc wia mieszała kaszę omaszczoną słoniną. Podgarnęła żarzących węgla pod rynkę, gdy usłyszano poruszenie na podwórzu.

Odkoczyła wystraszona Małgorzata, Jaśko spojrział bojaźliwie na drzwi, podniósł się i Stanisław z ławy i ujrzeni wchodzącego do izby Węgra, a za nim drugiego nieznanego, którym był król szwedzki.

— Długośmy na was czekali — rzekł Stanisław Bąk — ale co odłożone to niestracone. Jeszcześmy wcztery nie rozpoczęli.

Karol skłonił się głową, zdjął płaszcz i kapelusz. Borowy przypatrywał mu się uważnie. Miał on na sobie mundur granatowy z dużymi, miedzianymi guzikami, szeroki pas bawoli, spodnie łosie i ogromne buty. Para pistoletów i długi pałasz składały się na całe uzbrojenie.

— No, Małgosiu, podajcie z komina dary Boże — i prosząc gości zasiadł Stanisław na

ławce. Karol przy nim zajął miejsce. Węgier, nie wiedząc gdzie usiąść, bał się przy królu, żeby go nie rozgniewać, stanął więc z wielkim uszanowaniem za nim. Karol to spostrzegł, spojrzął na niego surowo, chwycił za rękę i posadził przy sobie.

— Matulu, a nie żałujcie „szwedów” \*) do kaszy — zawołał Jaśko nadstawiając dużą misę.

Karol na wyraz „szwed” zmarszczył czoło. Węgier się uśmiechnął.

— Czy Jego Wysok... — Król surowo spojrzął w oczy Węgrowi, który przerwał w połowie zdanie i skończył już w innym tonie. — Oni na słoninę nazywają — „szwedy”.

— Nie słoninę, ale skwarki tak nazywamy, bo widzicie Szwedy nam dużo biedy nakwarzili i dlatego tak się u nas mówi. Ale nie gniewajcie się, mój Jaśko, dobry chłopak tylko trochę głupi.

Jaśko ze śmiechem postawił na stole misę gorącej kaszy, każdy zabrał się do niej z apetytem i Karol, nie namyślając się wiele, wziął drewnianą łyżkę i jadł ze smakiem.

Borowy siedział naprzeciwko króla i oka żeń nie spuszczał, uważając bacznie na każde jego poruszenie.

Po wczery skinął na Stanisława i wyszli razem do komory.

\*) Lud wówczas nazywał „szwedami” skwarki ze słoniny.



— Mój Staśku — rzekł z wolna — wydaje mi się, że to ten sam, co to bywał na czele wojsk szwedzkich i do którego strzeliłem srebrnym guzikiem. Może to król.

— I, zdaje się wam, kumie, i ja go przecież widziałem, ale ani krzty niepodobny.

— Gadacie, gadacie, mój kumie. Pamiętam ja go dobrze. Jakbym go widział, jak się na swoim koniu uwijał i jak go wzięłem na cel i zwałił się na ziemię. A przecież i pas nie taki szeroki, co gadają, że to od diabła. Widziałeś jakie na nim dziwaczne litery wypisane. Że to jest sam król szyję dałbym za to.

— A choćby to był i król. To jest mój gość. Zawierzył nam, przyszedł na noc, posilić się. Niech będzie i diabłem, włos mu z głowy spaść nie może.

— A ja myślę, że warto byłoby... — odpowiedział Borowy i nie skończył.

Stanisław Bąk, wychodząc z komory, kiwnął głową:

— Będzie sobie spał spokojnie, bo jest w mojej chacie. Jak będzie za domem róbcie sobie, co chcecie.

Na rozestanej słomie położył się strudzony Karol XII i zasnął twardo, nie rozbiegając się wcale. Stanisław Bąk z synem, z żoną i Borowym spali obok w komorze. Węgier jeden czuwał całą noc. Siedział na ławie przy kominie, drzemał, fajkę palił i przykładał coraz dłużej na gasnący ogień.

## ROZDZIAŁ VII.

W obszernej komnacie siedział zamyślony Szczuka, podkanclerzy litewski. Na wielkim kominie palił się ogień, przy nim z założonymi w tył rękoma grzał się podsiwiaty Ordega.

— To źle, to źle, panie bracie — rzekł Szczuka, podkręcając wąsa — i jakże to było?

— Krótko i węzłowato. Najjaśniejszy król szwedzki z Torunia poszedł z wojskiem w lasy mazowieckie. Kurpie, na których czele stanęła pani wojewodzina, podali mu warunki, których jeżeli nie przyjmie — nie puszcza go dalej. Roześmiał się z tego Karol i poszedł przebojem, ale stracił w krwawej walce wojsko wyborowe i sam, jedni mówią, że zginął, drudzy, że został ciężko ranny.

— Gdzież on teraz może się obracać? — mówił podkanclerzy. — A no fortuna kołem się toczy.

— Fortuna zwyczajnie jak fortuna. To jest białogłowa, a na jej stateczność nie liczasz waszmość. Ś. p. rodzic mój zawsze mawiał:



*„Co ci powie białogłowa,  
Pisz na bystrej wodzie słowa”.*

i ja sobie zawsze to powtarzam. I myślę, że fortunie można tak samo jak i niewieście wierzyć.

— Dużo tam zginęło?

— Około ośmiu tysięcy Szwedów.

— Do stu piorunów! — krzyknął poruszony tym Szczuka. — 7000 wojska miał Karol pod Narwą i 80.000 Moskwę pobił, a tu...

— A tu miał rozprawę z chłopami bez butów, jak ich sam nazwał, ale z chłopami polskimi.

— Prawda, że z nich każdy dobrze strzela, ale cóż to znaczy dla wojska Karola XII.

— To znaczy, mój panie podkanclerzy, że jak kogo weźmie Kurp na cel, to napewno nie chybi. Sam widziałem jak podstarość pani wojewodziny napisał na desce trzy litery A. S. R. to jest Augustus secundus rex. Był tam wtedy leśnikiem Borowy. Jak wziął swoją mizerną strzelbę w pół godziny kulami te trzy litery wysadził.

— Długo się bili — zapytał znowu Szczuka, którego ta wiadomość bardziej obchodziła.

— Prawie trzy dni trwała rozprawa. Jeszcze się zwycięstwo chwiało, ale gdy Telembski, dworzanin pani wojewodziny, zdobył pięć dział, a ona sama w pień wycięła regi-

ment Szwedów w Ostrołęce na cmentarzu, otoczeni zewsząd, co do nogi wyginać musieli.

— Ale gdzie król, gdzie król?

— Bóg go święty raczy wiedzieć, gdzie on się obraca.

— Mój Grzeško, fernal, co onegdaj do Łomży jeździł, nasłuchiwał się tam dziwnych rzeczy.

— I cóż więc mówią? Może są jakieś bardziej pewne wiadomości.

— Waszmość jest niespokojny o Najjaśniejszego Karola i mnie to także obchodzi.

— Otóż on gadał, jak słyszał, że go Kurpie schwytać mieli, ale Bóg Wszechmogący, wyzwolić go raczył, że ma przestreloną rękę i że pięć kul trafiło go w brzuch, ale w pasie bawolim uwięzły. I dlatego prostactwo szeroko opowiada, że ma pas od diabła, którego żadna kula nie przebije.

— Ale cóż u Boga, że takie wojsko nie mogło im się oprzeć.

— Nic dziwnego. Ja znam Kurpiów bliżej. U nich życie ludzkie tyle znaczy, co ślina. A przytomności to nie tracą do ostatniej chwili. Pamiętam raz był ogromny niedźwiedź, ale taki, że nie jego myśliwi, ale on myśliwych szukał. Jeden z gajowych miał coś czerwonego na kapeluszu, niedźwiedź z ponurym mrukiem, stanąwszy na tylnych



dwóch łapach podskoczył do niego. Gdy się już zbliżył na pięć kroków, gajowy jeszcze podniósł dekel, sprawdził czy dobra podsypka, zmierzył, palnął, a niedźwiedzisko zważyło mu się u samych nóg i omal go nie przyduśiło.

Szczuka zamyślony mało zwracał uwagi na gawędzenie starego Ordegi. Zajęty rozmową z swoimi myślami, pokręcał węża, po chwili z uśmiechem rzekł:

— Zapewne król August zechce wykorzystać taki pomyślny bieg spraw. Jak się dowie o tym zwycięstwie, będzie chciał powrócić, ale nie uda mu się to łatwo...

— Dobrze mówią widzi, waszmość, że przez Wisłę przepłynął a na Dunajcu zginął. Tak samo i z królem Karolem. Bił się dużo, zwyciężał dzielnych żołnierzy, a przez chłopów został pobity, Nieraz to i mała mysz...

— Wszystko to naprawi sam Najjaśniejszy Karol, byleby się z tych niedźwiedzich szponów mógł wydostać.

— Być może — odpowiedział Ordega — ale co go zadrapali porządnie to zadrapali.

— Potrafi im Karol przyciąć szponów i kaganiec na pysk założyć — rzekł rozgniewany Szczuka. Niedźwiedz wiesz, panie bracie, srogi jest w lesie, ale jak go cyganie złapią to później tańczyć i skakać tak musi jak mu każą.

— Masz waszmość rację, panie podkan-

clerzy, ale obawiać się go muszą zawsze i dlatego kaganiec albo kółko przez nozdrza przeciągają i na łańcuszku prowadzają.

— Któż tymi chłopami więcej dowodził? Czy tylko sama pani wojewodzina? — rzekł po chwili Szczuka, opanowując uniesienie.

— O nie tylko, mówią także o Telebmskim.

— To jakaś mała szlachcina — rzekł podkanclerzy z pogardą.

Stary Ordega obruszył się na te słowa i pokręcił nerwowo siwego węża. Telebmski był jego dalekim krewnym.

— Zapomniałeś widzieć, waszmość, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Dawniej były lepsze czasy, a drwiono sobie z tych wszystkich tytułów zagranicznych. Nieznano tych hrabiów, margrabiów, książąt i książątek, ale za to szlachcic był zawsze szlachcicem i niech się przed nim każdy baron schowa...

Ordega mówiąc unosił się coraz bardziej, policzki mu poczerwieniały, ale spostrzegł to w porę Szczuka krzyknął na hajduka, który wnet przyniósł kilka butelek węgryzyna i puchar w kształcie lejki.

— Do was, panie bracie, rzekł Szczuka, podnosząc w górę puchar. Zgoda wielkie rzeczy tworzy, a niezgoda największe zdolna jest zniszczyć.

Na to przyjemne wezwanie rozchmurzyło



się oblicze starego Ordegi wychylił do dna podany puchar. Hajduk nalał drugi, gdy głośne psów szczekanie na podwórzu zwróciło ich uwagę.

— Zobacz, co za goście przyjechali — rozkazał Szczuka hajdukowi.

Hajduk pobiegł, a za chwilę drzwi się otworzyły. Podkanclerzy patrzył ze zdziwieniem w otwarte podwoje. Do komnaty wszedł wysoki gość płaszczem okryty, w trójgraniastym kapeluszu na głowie, drugi za nim ubrany był w węgierską burkę. Obaj obsypani śniegiem.

Pierwszy odpiął płaszcz, a Szczuka wykrzyknął:

— Tyżeś to Najjaśniejszy Panie!

Karol podszedł do komina i nie zdejmując kapelusza rozgrzewał skostniałe ręce. Ordega kłaniał się bez przerwy raz królowi raz wyprężonemu przy drzwiach wejściowych Węgrowi.

— Panie Podkanclerzy — rzekł Karol — potrzebuję dwóch posłańców, ale ludzi zupełnie pewnych.

— W tej chwili będą, Najjaśniejszy Panie.

— Kałamarz i pióro.

Siadł przy stole, napisał krótkie rozkazy i wręczył je przybyłym gońcom.

Wstał i znowu grzał się przed kominem.

— Już wiesz o wszystkim zapewne, panie podkanclerzy.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Szczuka z niskim ukłonem. — Ale obawiam się...

— Ja za to niczego się nie obawiam — rzekł z gniewem Karol XII. — Nikt mnie jeszcze nie widział, żebym kiedykolwiek stehórzyl.

— Nie to chciałem powiedzieć, i nie to zupełnie miałem na myśli. Obawiam się, ażeby z tej chwilowej niepomyślności nie zechciał skorzystać August.

— August! August! Kogo raz król Karol strąca z tronu, to ten już drugi raz na tron nie trafia. Widzisz, walkę stoczyliśmy tam nielada, moi się bili jak lwy, aż miło wspomnieć, za sztandar mieli mój kapelusz, bo zawsze byłem na przedzie. — Wymawiając te słowa chciał swoim zwyczajem zaczesać włosy i dotknął kapelusza na głowie.

— A, przepraszam gospodarza, że tak niegrzecznie wszedł król szwedzki pod jego gościnnie dach.

Zdjął kapelusz i kazał Węgrowi otrząsnąć go ze śniegu. Węgier wyszedł do sieni.

— Temu poczciwemu Węgrowi wiele mam do zawdzięczenia. Dobry chłopisko — wierny jak pies, w boju dzielny jak lew, ale i głupi jak osioł.

Wrócił właśnie Węgier.

— No, mój towarzyszu i tyś też zmarł — mówił wesoło Karol. — Chodź bliżej ognia,



pogrzejemy się razem. Razem żeśmy się bili, razem spali u tych chłopów bez butów, to razem się i pogrzejemy.

— Jakto Najjaśniejszy Panie i odważyłeś się przyjąć nocleg u tych Kurpiów, co ci do nogi wybili żołnierzy — zapytał zdziwiony Ordęga.

— Kto do stu diabłów do nogi—krzyknął rozgniewany Karol. — Chyba królem nie będę, jeżeli się tak na nich nie zemścę, żeby do dziesiątego pokolenia to zapamiętali. Karol umie się mścić. Ach, gdybym miał chociaż z tysiąc swoich żołnierzy.

— Tylu ich było w Ostrołęce i okolicy, ale i tych wysiec kazała pani wojewodzina. Mówią, że to Herod baba. Połknęła diabła Najjaśniejszy Panie — rzekł swoim zwyczajem Ordęga.

Szczuka zupełnie wyraźnie zaczął okazywać swoje niezadowolenie z tego powiedzenia, a Karol aż się zatrzęsł z gniewu.

— I ci zginęli — zawołał z wielkim uniesieniem. Dlaczego nie mam, chociaż ze stu męźnych.

Zaczął chodzić nerwowo tam i z powrotem po komnacie. Stary Ordęga nie przypuszczając, że aż taki wielki wybuch gniewu spowoduje stał teraz spokojnie. Tylko Węgiel, grzejąc się przy kominie, pomrukiwał niekiedy: „Boże mój! Poginęli, wszyscy a tacy byli dobrzy chłopcy”.

Karol powoli ochłonął z uniesienia.

— Cóż to za jedna ta pani wojewodzina — zapytał Szczuki.

— Jest to, Najjaśniejszy Panie, wdowa po wojewodzie Działyńskim. Kobieta bardzo młoda...

— Więcej niema jak dwadzieścia cztery lata. Urodziła się Anno Domini... i zaczął na palcach rachować po swojemu Ordęga.

— Wielkie to mi przeszkody tutaj u was stawiają na drodze — zawołał Karol ironicznie. Mam za przeciwnika babę, jedną babę i... chłopów bez butów.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Szczuka — ja tylko składałam dzięki Bogu, że Waszą Królewską Mość zdrowo z tego nieszczęścia wyprowadzić raczył.

— I szczęśliwie salwował — dodał z ukłonem Ordęga.

— Dziękuję ci mój podkanclerzy. Wiem, że mi szczerze życzysz i dlatego właśnie dom twój wybrałem na miejsce swego chwilowego pobytu. Jestem trochę strudzony, chętnie bym odpoczął...

— Najjaśniejszy Panie już wszystko jest przygotowane i jeżeli Wasza Królewska Mość pozwoli będę mu służył za przewodnika.

I poprowadził Karola do sypialnej komnaty.

Odetchnął stary Ordęga, nalał sobie pu-



char i rzekł do grzejącego się przy kominie Węgra:

— Złe jest wino, jeżeli nie jest węgierskie, tak u nas mawiają. Widzę, żeście, mój przyjacielu, z tego kraju przyjechali, skosztujcie więc i swego krajowca.

— Jeżeli pan wielmożny tak każe — i wychylił do dna podany puchar.

— A co, dobre? — zapytał Ordega z uśmiechem.

— To jest prawdziwy Tokaj. Dobre, mocne wino.

— Co tak się gniewa Król Jegomość? — zapytał gładząc się po łysinie.

— Nie wiem, dlaczego ma taki popsuty humor.

— A gdzieście nocowali?

— U wieśniaków. Wczoraj żeśmy się z nimi bili a dzisiaj u nich nocowaliśmy.

— Że też nie złapali Najjaśniejszego Pana. Zapewne nie poznali.

— Oni nie poznali króla. My siedzieliśmy razem na jednej ławce i jedliśmy kartofle.

— A król nic wam na to nie powiedział?

— Ja nie śmiałem razem z królem usiąść, ale jak stałem za nim wziął mnie za rękę i posadził na ławie.

To nic dziwnego, myślał sobie Ordega, że Karola nie schwycili, bo przecież on zwyczajnego plebejusza udawał. Przeplukał znowu usta zachwalanym przez Węgra winem.

Wkrótce nadszedł Podkanclerzy. Oddał

Węgra hajdukowi pod opiekę. Zostali sami z Ordega.

— Widzisz, waszmość, król się gniewał i miał słuszną rację. Kto widział takie nieprzyjemne wspomnienia na pamięć przywodzić.

— Błądzić jest ludzką rzeczą — odpowiedział Ordega — Już sam się za to dobrze wypociłem. Ale król to zły jak diabeł... — nie dokończył słowa i zakrył ręką usta.

— Dzięki Bogu, że król wyszedł zdrowszy z tego wszystkiego. Teraz będzie inaczej. Jeszcze nieprzyjaciele nasi zadrżą przed nami.

— Napewno tak będzie — potwierdził Ordega, dopijając swego puchara.

— Najjaśniejszy Pan tu zgromadza swoje siły i stąd na nowo pogrom świata urządzi. Ja wiele mam jeszcze do zrobienia, muszę odejść. Dobrej nocy.

— Dobrej nocy — rzekł Ordega odchodzącemu Szczuce. Siadł na kanapie i napełnił puchar.

— Oj źle, źle znowu będzie. Znowu bieda i zniszczenie kraju — mówił sam do siebie popijając węgryna. Niejedna jeszcze wieś spłonie, niejedna matka zapłacze. Ale rozprawa była nielada. Nieprzyjemnie mu ją teraz wspominać, ale żeby tak odniósł zwycięstwo, dopiero chwaliłby się. I pan podkanclerzy ma do mnie jakieś pretensję. Albo to moje wina, że Najjaśniejszemu Panu skó-



rę wytatarowali. A i mój Telebski chłopak chwata. Mój Boże... któżby się spodziewał. Takie to było małe bobo, ale zawsze zu chowate.

Nalał znowu wina.

— Nieraz to z pałaszykiem latało jak kot z pęcherzem... A teraz dobrze, prawdziwie po polsku kurtę skroił. A i pani wojewodzina niewiasta do rzeczy. Kobieta dzielna.

— A Najjaśniejszy Pan gniewa się, jak mu przypomnieć, że baba i chłopci bez butów pobili jego dzielne wojsko...

Powoli węgrzyn zaczął działać. Na rumiane policzki Ordegi wystąpił pot kroplisty, nad łysiną unosił się biały dymek.

Serdecznie się waszmość sfatygował. To też oczy mu się powoli zamknęły, a głośnie chrapanie świadczyło o smacznym śnie.

Na kominie zgasł ogień. W komnacie zrobiło się ciemno.

## ROZDZIAŁ VIII.

Ledwo świtać zaczęło Karol XII już nie spał. Całą noc miał niespokojną. Zdażył tylko się zdrzemnąć, już widział przed oczyma ową nieszczęśliwą bitwę. Zdawało mu się, że jest na placu boju—wołał na swoich, rzucał się niespokojnie na łóżku.

Szczuka, który spał w przyległej komnacie, wszystko to słyszał.

O północy podwórzec jego zaczęła zapelniać jazda i piechota szwedzka, pozostająca pod dowództwem jenerała Steinflichta, który szczęśliwie wydostał się z tamtej porażki.

Podkanclerzy nie śmiał zbudzić Karola i donieść mu, że wojsko jego się zbiera. Niedługo jednak sam król go zawołał.

— Cóż słysząc, panie podkanclerzy, czy już przybyli moi?

— Tak jest Najjaśniejszy Panie. Czekają dalszych rozkazów Jego Królewskiej Mości.

— Któż nimi dowodzi?

— Jenerał Steinflicht.

— Dzięki Bogu, że wyszedł cało. Niech tu przyjdzie.



Steinflucht stanął na rozkaz.

Karol wesoło podszedł do niego i poklepał po ramieniu.

— Chociaż tobie udało się wydostać z tych pazurów niedźwiedzi. Dużo masz ludzi u siebie?

— Najjaśniejszy Panie, dwa regimenty piechoty, jeden jazdy i cztery działa.

— A gdzie reszta?

— Za dwie lub trzy godziny nadciągnie reszta korpusu.

— Ilu ich tam będzie?

— Wydałem już rozkazy, żeby marsz przyspieszono. Jest tam dziesięć regimentów piechoty, sześć jazdy i dziesięć dział.

— No, dam im teraz za swoje — rzekł Karol. Roześlesz zaraz wokoło silne patrole jazdy. Regiment piechoty zajmie jaknajprędzej Łomżę, a wsparty dwoma działami niech się posuwa powoli drogą ku Ostrołęce. Reszta zostanie przy mnie.

Jenerał wyszedł, aby wykonać rozkaz.

— Jakież wiadomości mamy o Auguście. Zapewne wiesz, gdzie się obraca?

— Tak jest Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Szczuka. August jest niedaleko u pani wojewodziny.

— Tym lepiej — rzekł Karol — poznamy się zbliska.

— Starosta Śmigielski z dużym pocztem szlachty polskiej przybył także wspomagać

stronę Augusta. Coraz więcej zbierają pod swoje sztandary. Wieść o klęsce podziałała mocno na ludzi.

— Karol XII mało dba o takie rzeczy. Gdybym miał nawet tylko tyle swoich, co ich jest na dziedzińcu też muszę walkę wygrać.

— August wydał również rozkazy wojsku saskiemu, które spieszenie zajmuje korzystne wokoło stanowiska, sądzę...

Karol zamyślił się chwilę, wybiegł po tym na podwórze, gdzie wojsko powitało go radosnymi okrzykami.

\* \* \*

— Małgosiu! Małgosiu! A cóż się nie odzywasz? Milczy jak zaklęta — wołał Stanisław Bąk, nabijając strzelbę.

— A czego chceta? — odpowiedziała zadyszana, nadbiegając z gumna.

— Dajcie — no pakuł do torby, bo już nic nie mam.

Nadszedł niedługo Borowy.

— Coś nowego widocznie będzie. Wielki ruch na naszym dworze. Szlachty przybywa coraz więcej, a każdy strojny i zbrojny. Mówią, że i nasz król, co go Szwed wygania jest u naszej pani i chce podziękować Kurpiom, że skórę wytatarowali Zamorcom. We dworze będą się bawić. A my znowu kłopot mamy. Czy wy wiecie, kumie, że ten, co tu noco-



wał, to był król szwedzki. A myśmy tak jego puścili. Lepiej było wziąć panicza i oddać — do dworu.

— Ale to się nie godziło mój kumie. Ja ze śmiałym czołem i naszemu królowi powiem: „Jaśnie Wielmożny Królu, spał u mnie król szwedzki, ale, że spał w mojej chałupie wydać się go nie godziło”. Teraz człowiek ma chociaż czyste sumienie.

Borowy nic nie odrzekł, obejrzał strzelbę i podsypkę.

— Ale, ale, we wsi gadają, że znowu bójka będzie. Mówiła Małgorzata, że Szwedy podobno się zbierają i chcą się mścić na nas biedakach.

— Niech się dzieje wola Boska. Toć człowiek przecież nie fryc do bitwy. Proch już się nie raz wachało.

— Jak ludzie gadają to i wygadają. Czy myślisz mój kumie — mówił z wielkim zapalem Borowy — że te „czerwone diabły” darują nam tę krew przelaną, której żeśmy tyle nabroczyli, co wody w Omulewie. Krew krwią się płaci. Głowa musi iść za głowę. Jeszcze nie raz Borowy pośwista ołowianą kulą, nim samemu niewiadomo jaki koniec Pan Bóg przeznaczy. Co mówiła Małgorzata, to nie bajki. Już nasi wysłani na zwiady widzieli jak się Szwedzi gromadzą. Od Szczuczyna pokazało się ich trochę jak kawek na słotę. Mówią, że sam król nimi dowodzi, że

przez Łomzę prosto na Ostrołkę ciągną, inni podobno bokiem od Myszyńca nadchodzą. Pani nasza odrazu wysłała ludzi z trzech wiosek, żeby im po drodze przeszkadzali. Pojechało już dosyć szlachty, ale panowie szlachta jednemu wór, drugiemu płachta — kończąc te słowa uśmiechnął się drwiąco.

Jaśko nadbiegł zadyszany.

— W Dąbrowie biją na gwałt. Pani każała we wszystkich wsiach uderzyć w dzwony, żeby się nasi zbierali. Już „czerwone diabły” zaatakowały naszych. Pan podstarości wrócił z pod Ostrołki. Mówi, że nasi dzielnie się trzymali. Ale co się później stało, nie wie. Podobno od huku dział aż się ziemia trzęsła...

Borowemu zabłysły ogniem oczy.

— No, dalej Stasiu! W imię Boże zapojujemy.

Małgorzata, stojąc przy kominie, zaczęła płakać.

— Moja Małgosiu, nie płacz -- uspakajaj ją Bąk — miejmy w Bogu nadzieję. Dajno lepiej co do torby. Zapakuj i flaszkę wódki.

Małgorzata poszła do komory, a Bąk wziąwszy Jaśka za rękę mówił:

— Uważaj dobrze, jak się będą, „czerwone diabły” zbliżyły, uprowadź matkę do Kwiczola. Wcześniej wszystko powynos z chaty i zapal ją potem. Żeby Szwed nie mógł znaleźć spoczynku pod dachem. Jeden się z nich tylko spokojnie mógł u mnie przespać...



Małgorzata zapłakana wyszła z komory, niosąc wypakowaną torbę.

— No, komu w drogę temu czas. Bywajcie zdrowi moja Małgosiu. Jaśko niech do mu pilnuje.

Uściskał żonę, Borowy pocałował ją w rękę i wyszli z chaty razem z Jankiem.

Małgorzata pokropiła ich wodą święconą, a stojąc w progu zęgnęła znakiem krzyża.

Tymczasem Janek odprowadził Borowego i ojca kilka staj, pożegnał się z nimi i wrócił do chaty, gdy matka zapalała świecę woskową przed obrazem Najświętszej Panny Maryi Częstochowskiej.

Uklękła matka z synem i po przez łyż modlili się głośno — Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna...

## ROZDZIAŁ IX.

— Gdzie się teraz udamy — rzekł August do starosty Śmigielskiego, zatrzymując konia.

— Zdaje się Najjaśniejszy Panie, że wiadać przez tę gęstwą lunę z ognisk. Prawdopodobnie są to ogniska Szwedów, bo naszych wojsk niema w tej stronie.

— Cóż więc będziemy robili?

— Zaraz sobie poradzimy. Hryć — zawołał na swego kozaka — wejdź na tę sosnę i co zobaczysz to nam opowiesz.

Hryć zgrabny, przystojny, młody kozak, zręcznie zeskoczył z konia, zmierzył okiem wysokość sosny, przeżegnał się trzy razy i jak wiewiórka wdarł się na jej wierzchołek.

— Jaki zręczny i silny — powiedział August.

— Nic dziwnego Najjaśniejszy Panie. Od najmłodszych lat wprawiają się kozacy do tego, bo z wierzchołków drzew zawsze obserwują Tatarów.

Kozak obserwował chwilę i zsunął się na ziemię.



— Ogniska szwedzkie widać gęsto i aż pod sam las dochodzą. Czaty mają rozstawione wokoło, niektóre nawet blisko nas stoją.

— Co robić? Radź, mój starosto.

— Odważnym szczęście sprzyja — odpowiedział Śmigielski. — Zatrzymaj się tu z kozakiem Najjaśniejszy Panie, a ja dostanę „języka”.

Spiął swego karego ostrogą i ruszył wąską drożyną.

August zsiadł z konia i odpoczywał. Kozak, trzymając jedną ręką cugle, w drugiej miał nabity pistolet i nadsłuchiwał uważnie.

Śmigielski wyjechał z lasu i spostrzegł Szweda, stojącego na czatach. Podjechał doń z tyłu i nim się tamten zdążył zorientować, złapał go za kark, wsadził na swego konia i pędem odjechał tą samą drogą.

Kozak usłyszał zdaleka tętent konia. Ostrzegł Augusta, który dobył szabli i stał przygotowany. Lecz jakież było ich zdziwienie, gdy zamiast nieprzyjaciela nadjechał Śmigielski, wioząc ze sobą wystraszonego Szweda.

— No, Najjaśniejszy Panie. Śmigielski tak dostaje języka — zawołał. On nam teraz wszystko wyśpiewa i za przewodnika posłuży.

— Dużej rzeczy dokonałeś, panie starosto.

— Najjaśniejszy Panie, Śmigielski nieraz

już swoje życie nastawiał w obronie Waszej Królewskiej Mości i zawsze je nastawi, kiedy będzie potrzeba. Chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi.

Zsiadł z konia, rozbroił wybladłego Szweda i oddał pod straż swemu kozakowi.

— Teraz niech Wasza Królewska Mość raczy się rozmówić z tym zamorcem.

August wypytał go o drogę, o siły Szwedów, o miejsce pobytu Karola XII. Szwed ze strachu ledwie mógł mówić.

— Najjaśniejszy Panie, niewiele mamy czasu do stracenia. Musimy jaknajszybciej wydostać się z tej przeklętej puszczy. Hryć! dobądź smyczy.

Kozak dobył z torby długiego surowca, okręcił nim szyję Szweda. Wskoczył na konia i wyjechał naprzód prowadząc za sobą pojmanego, jak charta na polowanie.

Gęsty las się skończył. Widać było dobrze, palące się ogniska. Śmigielski z nalaadowanym pistoletem deptał Szwedowi po piętach, który wystraszony wskazywał znane sobie drogi, jakimi bezpiecznie wyminąć można było obozy.

Chyba już pół mili przeszli, przedzierając się przez zarośla i krzaki i dopiero wyszli na puste pola. Zdala było widać było dwór szlachecki i wioskę.

— Można byłoby już puścić naszego prze-



wodnika — rzekł z uśmiechem August do Śmigielskiego.

— Nie bardzo, Najjaśniejszy Panie. Ja zostawię lepiej przy nim naszego kozaka. On mu zmyli drogę, a my tymczasem udamy się do wsi.

August dobył talara, a dając go Szwedowi na piwo zgiął jak wosk w palcach. Szwed zdziwił się. Król roześmiał się, wyprostował go z powrotem i rzucił mu jeszcze kilka w nadstawiony kapelusz.

Jechali szybciej. Kozak zostawał w tyle, a August ze Śmigielskim skierowali się do wsi.

Hryć obejrzał się kilka razy. Pana jego już widać nie było. Świsnął na swego Żmudzinka, który jak wichur ruszył z miejsca. Szwed przewrócił się, a surowiec mocno zacisnął mu gardło, że przytomność stracił. Kozak zatrzymał konia, zsiadł i sięgnął po talary ofiarowane zamorcowi przez króla. Ledwo je schował do torby, wsiadł na konia, a tu już go otoczyło dziesięciu konnych Szwedów. Zabłysły nad głową szable. Nie namyślając się wiele kozak skoczył z konia, skrył się w gęstwinie leśnej. Wdrapał się na najbliższe drzewo i stamtąd obserwował co się dzieje. Część Szwedów zaczęła go szukać po lesie, drudzy zajęli się ratowaniem związanego przyjaciela. Żał mu się zrobiło Żmudzinka, którego Szwedzi prowadzili do obozu.

A on przecież nic nie miał droższego na świecie prócz czarnobrewej Paraski, konia i szabli. Łzy mu się zakłęciły w oczach.

Ale o to Żmudzinek wyrwał się prowacym i z głośnym rzeniem przybiegł do lasu, gdzie pan jego się schronił. Hryczko zaświastał głośno. Koń podbiegł do niego. Dosiadł go kozak, pochylił się do grzywy i jak błyskawica zginął w nieprzejranej ciemności leśnej.



## ROZDZIAŁ X.

— Cóż nowego przywozisz, mój Stasiu — rzekł Jan Grudczyński, starosta rawski, do przybyłego Stanisława Zienkiewicza.

Zienkiewicz złożył na stole pakiet listów. Był to wychowanek i ulubieniec starosty. Wziął go pod swoją opiekę jak miał osiem lat. Chłopak nie chciał się uczyć, tylko latał, piął się po drzewach, wyrzucał ptasze gniazda, żydom w miasteczku psoty robił. Ale pod ręką starosty i uczyć się zaczął i został później prawą jego ręką.

Najwięcej zaskarbił sobie jego łaski w tym wydarzeniu.

Grudczyński, podróżując po Ukrainie, przybył raz do samotnej karczmy. Dalej jechać było nie sposób, bo noc była ciemna, zanoćcować w izbie też nie można, bo smród był straszny i brudy. Kazał więc sobie i Stasiowi posłać w stodołę, a służba w karczmie została.

W nocy Stach się obudził i słyszy jakieś szmery za stodołą. Wyjrzał przez szczelinę i dojrzał kilkudziesięciu rozbojników, którzy

dowiedzieli się widocznie, że w karczmie możny pan się zatrzymał i chcieli nań napaść.

Nie namyślając się długo, przeszedł po cichu do karczmy, obudził dworaków. Sanie przygotowano tylko jechać.

Pobiegł Staś do stodoły, a nie wiedząc, jak Grudczyńskiego obudzić, żeby z ubieraniem nie marudził, powiedział mu, że ulubiony jego koń, Gniadosz, zachorował i powalił się przy żłobie.

Grudczyński, jak to usłyszał, nie ubierał się weale, chwycił burkę i pobiegł do karczmy. Tu wsiedli wszyscy do sanek i uciekli.

Ale zbójcy mimo, że widzieli 25 uzbrojonych dworzan dosiedli koni i puścili się w w pogoń.

Grudczyński kazał ich pojedynczo ostrzeliwać. Strzelano więc do bandytów, jak do kaczek. Ze dwie mile chyba ujechali aż zmęczeniu bandyci zaniechali dalszej pogoni.

Od tego wypadku został Zienkiewicz najlepszym przyjacielem starosty. Potwierdził swoje przywiązanie, kiedy wspierał na sejmiku partię starosty i dostał szablą nad prawym okiem.

— I jakie nowiny mi przywozisz? — zapytał znowu Grudczyński.

— Jaśnie Wielmożny Panie, wiele nowin przywożę. August został zdetronizowany, ogłoszono nową elekcję.



Uśmiechnął się zadowolony z tej wiadomości starosta.

— Miejsce elekcji jak zwykle — mówił dalej Zienkiewicz — pod Wołą. Najjaśniejszy król szwedzki stanął obozem o trzy mile pod Błoniem. Elekcja się odbyła, królem ogłoszono Stanisława Leszczyńskiego, wojewodę poznańskiego.

— Chwała Bogu! August strącony — zatarł z zadowoleniem ręce Grudczyński.

— Nie wszyscy są z tego wyboru uradowani. Niektórzy chcieli wybrać hetmana Szaniawskiego, niedołęznego starca, żeby go mogli za nos wodzić. Ale człowiek proponuje, Pan Bóg dysponuje. Widać, że było takie przeznaczenie dla rodu Leszczyńskich, jak dla Sobieskich, by ród ich na tronie Polski zajaśniał.

— Podobno się Radziejowski naraził królowi szwedzkiemu.

— A tak. Przywołał go Karol XII do siebie i zaczął wypytywać o kandydatów do tronu. Radziejowski każdemu łatkę przypiął. Zapytał go o Leszczyńskiego — mówi dobry, ale za młody. I ja przecież jestem młody — zawołał Karol XII. Obraził się i nie chciał z nim więcej rozmawiać.

— Dużo jednak jemu Karol XII ma do zawdzięczenia!

— A koronacja Najjaśniejszego króla Stanisława już odbyta?

— Tak jest. Odbyła się z całym przepychem w Warszawie. Był na niej obecny król szwedzki. Król Jegomość został ukoronowany wraz z małżonką w kościele św. Jana.

— Złożyłem Najjaśniejszemu Panu w imieniu Pana Starosty hołd i wytłumaczyłem, że wobec niedyspozycji sam tego zrobić nie może.

— A cóż porabia August?

— August zbiera wojsko i zapewne będzie chciał spróbować szczęścia w bitwie, bo Karol XII zaraz po elekcji ruszył w kierunku Ostrołęki.

— Można mu zaśpiewać — „requiescat in pace”. Wszystkie te wysiłki pana elektora saskiego łyżki strawy nie warte.

— Starosta Śmigieński jest przy jego boku ze znacznym zastępem szlachty.

— Ah, to i pan starosta tam jest — zawołał z uniesieniem Grudczyński. — Gdybyśmy się tak mogli spotkać...

Domawiał tych słów, kiedy otworzyły się podwoje komnaty, wszedł naprzód zmieszany August II, a za nim starosta Śmigieński.

Grudczyński z wrażenia, aż się cofnął kilka kroków do tyłu.

— Panie starosto — odezwał się August — żądam schronienia: Szwedzi wokoło.

— Masz nas waszmość w swoim ręku — zawołał Śmigieński — i zapewne wydasz nas Szwedom. Ale Śmigieński nigdy się nie dał



wziąć do niewoli, gdy ma kord przy boku. Odbierz go, waszmość.

Odpiął szablę i rzucił pod nogi Grudczyńskiemu.

August zbliżył się do starosty i wziął go za rękę.

— Przytułku i gościnności chcemy, a to przecież stare, polskie cnoty.

Grudczyński, na którego spadło to wszystko tak niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba, słowa wyrzec nie mógł.

Najpierw zwrócił się do Śmigielskiego.

— Podnieś, waszmość, szablę. Grudczyński nie umie być podłym.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł, zwracając się do Augusta — znalazłeś tutaj bezpieczne schronienie i chyba po moim trupie dostaną Szwedy Waszej Królewskiej Mości.

August z wdzięcznością przycisnął jego rękę do serca.

— Prawda — mówił dalej — że przeciwnikiem Waszej Królewskiej Mości jestem, ale Grudczyński jest tylko wrogiem w otwartym polu, a Polakiem we własnym domu.

Śmigielski uspokoił się, a wzruszony szlachetnością starosty, wyciągnął doń rękę na pojednanie, którą Grudczyński serdecznie uściskał. Rozpogodziły się czoła.

— Kto przejdzie próg mego domu temu przyjaźni, chociażby chwilowej, nigdy nie odmawiam.

Dał znak Zienkiewiczowi, który niezwłocznie opuścił komnatę, po chwili jednak przybiegł z doniesieniem, że liczny patrol szwedzki z pobliskiego obozu już na podwórze zjechał.

Grudczyński wziął za rękę Augusta i poprowadził go do alkowy. Tam przy wielkim obrazie przedstawiającym Jana Sobieskiego jak uderza pod Wiedniem na liczne hordy muzułmańskie, nacisnął sprężynę i otworzyły się skryte drzwi, prowadzące do małego pokoiku. Tam skrył Augusta i Śmigielskiego, mówiąc:

— Tu jesteś bezpieczny, Najjaśniejszy Panie. Ja odchodzę, żeby oddalić wszelkie podejrzenia. Bądź spokojnym, Wasza Królewska Mość — Grudczyński dał swoje słowo.

Wszedł do sali, gdzie Zienkiewicz przyjmował już dowódcę patrolu, młodego podoficera Remera.

— Daruje pan starosta — rzekł z uprzejmym ukłonem do wchodzącego — że tu przybyliśmy, ale jesteśmy żołnierzami i musimy ściśle rozkazy wypełniać.

— Cóż takiego? — zapytał Grudczyński.

— Według poszlak, król August powinien się gdzieś w pobliżu znajdować. Jeden z naszych żołnierzy schwytany zdradziecko na czacie służyć mu musiał za przewodnika, omal, że życia nie utracił, a co najważniejsza, że król August...



— Raczej ex-król, elektor saski — prze-  
rwał Grudczyński.

— Tak, tak, przepraszam—uśmiechnął się  
Remer, ciągnąc dalej rozmowę:—Otóż wydał  
się niechęący, bo dając kilka talarów na pi-  
wo, zgiął jeden jak wosk w palcach i wy-  
prostował następnie. Tego nikt więcej nie  
potrafi zrobić — tylko jeden August.

— Niekoniecznie — odpowiedział Zienkie-  
wicz — starosta Śmigielski — jest równie  
silny jak i August, bo jak usiądzie na dzikiego  
konia, a ściśnię go kolanami to koń przy-  
klęka.

— A to on napewno był z Augustem —  
zawołał Remer—to jego sztuczka, kiedy por-  
wał naszego żołnierza, siedzącego na koniu  
i na swego przesadził.

— A to zuch — uśmiechnął się Grudczyń-  
ski — przypuszczam, że nie bardzo byłbym  
rad dostać się w jego pazurki.

— Jak go tylko złapiemy, to cienko za-  
śpiewa.—Liczne patrole rozesłałem po okoli-  
cy i chyba się do mysiej nory schowali to  
byśmy ich nie znaleźli. A pyszny byłby po-  
darunek dla naszego Pana — król August  
i starosta Śmigielski.

— Raczyście darować — odezwał się z  
powagą starosta — ale to godzina mego zwy-  
kłego odpoczynku. Proszę się rozgościć, na  
niczym wam zbywać nie będzie. Panie Sta-  
nisławie wino i wieczerza.

Sklonił się nisko Remer, Grudczyński od-  
szedł do sypialnej komnaty. Zienkiewicz  
krzyknął na hajduka, który przyniósł wkrót-  
ce kilka flasz wina. Remer odpasał pałasz,  
zdjął płaszcz z pistoletami i usiadł w wiel-  
kim krześle starosty. Zienkiewicz podał mu  
wielki puchar wina, który do dna wychylił.

— A wiesz pan co — to dobre wino.  
Niemasz jak piwnice panów polskich.

— Tak uważają — rzekł Zienkiewicz —  
że w Polsce nigdy nie zabraknie:

*„Żyta, lnu i pszenicy  
I pełnej wina piwnicy”.*

— Ale kto wie, jak długo Bóg nam dozwo-  
li śpiewać tę piosenkę. Może dzieci będą  
ją sobie powtarzały jako miłe wspomnienie,  
pamiętkę z dawnych czasów.

— E, mój panie, ja to nigdy o jutrze nie  
myślę. Co dziś to moje, a to co jutro będzie,  
diabłu można oddać. Tak każdy żołnierz po-  
winien myśleć. Poco się zatruwać goryczą.  
Dzisiaj się martwisz, kłopotujesz, a jutro kul-  
ka świśnie i już nogi trzeba na zawsze wy-  
ciągać — pokiwał na zakończenie głową Szwed.  
Zienkiewicz nalał drugi puchar.

— Proszę, pijcie — rzekł do Remera — do-  
bre, stare wino. A u nas powiadają, że sta-  
ra księga, stara prawda i stare wino, zawsze  
dobre.

— Jest to wielka racja. Zgadzam się na



starą prawdę, a szczególnie na stare wino. Ale dziękuję za starą księgę. W swoim życiu, ani jednej jeszcze nie przeczytałem. Oto nasza księga — zawołał, uderzając w leżący na stole pałasz. — To księga, to prawda najlepsza.

Zienkiewicz ciężko westchnął i pomyślał — „Oj, źle jest tam, gdzie sama szabla prawdą będzie”.

Niedługo przygotowano wieczerzę. Remer jadł dużo, pił jeszcze więcej, to też nie doczekał do końca i zasnął twardo w fotelu.

Grudczyński wyszedł z sypialnej komnaty, przeszedł cicho koło śpiącego Szweda i wyjrzał na dziedziniec. Noc była ciemna. Na dachach tylko śnieg biał.

— Jeszcze nie czas — rzekł do siebie i powrócił do alkowy.

## ROZDZIAŁ XI.

Stanisław Bąk i Borowy, znanymi sobie drożynami, dochodzili pod Ostrołękę, a im byli bliżej, tym coraz wyraźniej słyszeli huk strzałów.

— Śpieszmy, Staśku, śpieszmy, żeby nie zasypać gruszek w popiele — przynaglał Borowy. — Odetchnę swobodniej, jak chociaż jednego Szweda duszę podaruję diabłu na ofiarę.

Las się skończył. Na pustym polu zobaczyli rozwinięte szeregi Karola XII. Kurpie bronili się zacięcie przy wiatraku i we wsi między opłotkami.

— Czy widzisz — zawołał z zapalem Borowy — nasi jeszcze we wsi trzepią „czerwonym diabłem” skórę. — Hurra na nich — i wybiegł z przygotowaną strzelbą z lasu. Ale ledwo się pokazał już go zaatakowało dwóch szwedzkich jeźdźców i, gdyby nie Stanisław Bąk, który ich powalił celnymi strzałami, Borowy nie uszedłby z życiem.

Tymczasem Karol XII nacierał coraz ostrzej na Kurpiów, broniących się w opłot-



kach, ale ci odpierali każdy, najsilniejszy nawet atak. Szala zwycięstwa przechylała się jednak na stronę Karola. Zdołano zapalić wiatrak i wieś, która dotąd służyła Kurpiom za fortecę.

Z jednej więc strony ogień, a z drugiej strony nieprzyjaciół zmusił Kurpiów do wycofania się na czyste pole. Wiedzieli, że tam ich czeka śmierć. Wycofali się jednak spokojnie, ale gdy tylko wyszli, jazda szwedzka zaatakowała ich ze wszystkich stron i, gdyby nie Telebski, który uderzył na Szwedów ze swoimi szlachciami i rozbił ich, Kurpie nie uszliby zagłady.

Telebski wykorzystał zamieszanie i zaatakował działa, zdobywając osiem dla swoich.

Spostrzegł to Karol XII, uderzył większym oddziałem i odbił armaty. Telebski ciężko ranny w ramię, dużo swoich stracił.

Borowy i Stanisław Bąk widzieli to wszystko z lasu. Strzelali do przebiegających Szwedów, ale w bitwie wziąć udziału nie mogli.

Karol syt zwycięstwa kazał ściągać wojska.

Telebskiego tymczasem, który zemdlął z upływu krwi, trzymał na swoim koniu wierny pacholek. Huczko dowiózł go aż na podwórze pani wojewodziny Działyńskiej. Tu zabrała służba rannego i przeniosła do sypialnej komnaty.

Przybiegła go ratować sama pani wojewo-

dzina. Zrobiono opatrunki i wiele musiano użyć środków trzeźwiących, za nim wrócił do przytomności. Chory westchnął.

— Żyje, żyje — zawołała uradowana Działyńska. Żyje i przyłożyła mu rękę do serca.

Przywołany lekarz zalecił jaknajwiększy spokój i zapewnił Działyńską, że stan nie jest groźny.

Wojewodzina nie odstępowała chorego, siedząc przy łóżku przykładając nieraz rękę do jego serca i powtarzała:

— Bije, słabo bije, ale gdyby nawet tak słabo chciało bić dla mnie.

\* \* \*

Karol XII po odniesionym zwycięstwie dojeżdżał właśnie do wiatraku, który jeszcze cały płonął. Przy domku młynarza stało 30 Kurpiów wziętych do niewoli.

— Tych chłopów bez butów wywieszać, co do jednego — zawołał z gniewem. — No, czego stoicie — krzyknął w uniesieniu na swoich. — Karol nie powtarza rozkazów. Tu na wierzbie po jednym, gdy zabraknie na drzewie miejsca na stryczek, niech spróbują jak teraz ciepło w wiatraku.

Zachęczone żołdactwo, jak wściekłe psy, rzuciło się na bezbronnych Kurpiów. W jednej chwili kilkunastu wisiało na drzewie, kil-



ku związawszy ręce i nogi, rozbujali i rzucałi w płomienie, na pozostałych urządzili loterie, który ma być powieszony, a który spalony.

Nad wieczorem zgasł ogień. Cały wiatrak spłonął. Przejeżdżał tedy znowu Karol XII, żeby się przyjrzeć powieszonym Kurpiom. W tym koń jego potknął się mocno. Spojrzał Karol na ziemię i dostrzegł, że zdeptał ciało Kurpia spalonego na węgiel.

— Już trup, a jeszcze mi przeszkadza na drodze...

## ROZDZIAŁ XII.

August II i Śmigielski, wspaniale przyjęci przez Grudczyńskiego, zostali przez niego odprowadzeni aż do granicy dóbr. Przy samym kopcu granicznym Grudczyński z uszanowaniem uchylił czapki i rzekł do króla.

— Najjaśniejszy Panie. Byłem przeciwnikiem Waszej Królewskiej Mości i będę nim dalej, bo stoję za nowym królem, Najjaśniejszym Stanisławem I, ale żądałeś schronienia w moim domu, dotrzymałem danego słowa. Oto jest pewny przewodnik — wskazał na Stanisława Zienkiewicza — on doprowadzi Waszą Królewską Mość — gdzie tylko zażadasz.

August uściskał rękę starosty.

— Tu — rzekł, pokazując na serce — tu pamiątka i wdzięczność dla was. Może jeszcze August znajdzie sposobność odsłużenia się wzajemnie.

— Panie starosto — zawołał szczerze Śmigielski — i ja odczuwam waszą wspaniałomyślność. Podaj prawicę. A chociaż



każdy z nas innej służy sprawie, kochać się przecież możemy — i zbliżył się do Grudczyńskiego, który mocno uściskał wyciągniętą rękę.

— Zapomnijmy o dawnych zajściach, niechaj zaginą, jak kamień w wodzie. Znajdziemy się jeszcze pod jednym sztandarem — zawołał na pożegnanie.

Zienkiewicz poprowadził Augusta i Śmigielskiego sobie tylko znaną ścieżką, albowiem niebezpieczeństwo jeszcze niezupełnie minęło. Patrole szwedzkie jeszcze tu i owdzie się kręciły.

Wjechali w lasek brzozywy. Zdaleka zobaczyli jeźdźca, który jechał w kierunku lasku, ciągnąc coś za sobą na długiej smyczy.

Zatrzymali konie i skryli się za drzewami. Jeździec popędzał konia i co chwila oglądał się poza siebie. Koń był zmęczony, okryty białą pianą.

Zaledwie jadący zbliżył się do lasu, gdy starosta krzyknął:

— To mój Hryć. Co on tu robi? — i zawołał głośno na niego.

Kozak poznał głos swego pana i podjechał do nich, ciągnąc na smyczy już zduszonego Szweda.

— Dlaczego zadusiłeś go, kiedy ci kazałem puścić wolno.

— Ale to nie ten sam Niemiec, to inny. Niech no, Jaśnie Wielmożny Pan, spojrzysz,

tamtę miał szramę przez pysk, a ten gładszy zupełny.

— A co się z tamtym stało?

— Puściłem go, ale zwołał swoich, oskoczyli mnie, że ledwo uciekłem. I mego Żmudzinka pochwycili, ale im się dzięki Bogu wydarł. Jechałem właśnie szukać Jaśnie Wielmożnego Pana, a tu ten Szwed stoi na koniu. Minąć go ani sposób. Pochwyciłem więc go na arkan, ściągnąłem do nogi i jadę. Ale wielkie strzelanie od Myszyńca i Ostrołęki słychać było. Mówili mi nasi w jednej karczmie, że król szwedzki zabity, a wojsko jego wystrzelane. Żaden nie wyszedł żywy z mazowieckich lasów.

— A więc sprawdza się to, co mówili — rzekł Śmigielski do króla — nasza bohaterka rozbiła ten żelazny mur.

— Dzięki niech będą Bogu — westchnął August. — Fortuna sprzyjać już nam zaczyna. Daj Boże, żeby była stalszą, niż pleć do której należy.

— Najjaśniejszy Panie, przecież nie możesz narzekać na białogłowy, u których masz tyle szczęścia. Nawet Hiszpanki i to się w tobie kochały.

— Ach skończ, mój ukochany starosto, te dawne wspomnienia ranią moje serce.

Rzeczywiście miłość Augusta do przystojnej Hiszpanki, w której się zakochał w najpiękniejszych latach swego życia i okropne



okoliczności w jakich ukochana zeszła z tego świata bolesne budziła uczucia w jego duszy.

Spostrzegł to Śmigielski i zwrócił rozmowę na inny temat.

Zienkiewicz, który w milczeniu przysłuchiwał się opowiadaniu kozaka, aż zadrżał, jak się dowiedział o kłęsce Karola.

— W której stronie słyszałeś strzały? — zapytał Hrycia starosta.

— Zdaje się, że stamtąd — i wskazał na ciemne bory. — Leśnicy mówili, że gruby zwierz stadami z legowisk uciekał.

— Jak daleko jest do Myszyńca — zapytał August, zwracając się do Zienkiewicza.

— Najjaśniejszy Panie, trzeba liczyć pięć dobrych mil. Na 20-tą godzinę tam będziemy. Ale narazie odpoczniemy tu w krzakach, bo trzeba przejrzeć pole, czy tam się gdzie Szwedzi nie kręcą.

Ukryli się w krzakach, Zienkiewicz pośpieszył wąską drożyną, kozak wyczołgał się na piaskowy wzgórek, zwany „diabli taniec” i sokolim okiem rozglądał się wokoło.

August, oparty o płaczącą brzozę, myślał pewnie o swojej pięknej Hiszpance.

Śmigielski, oparty na dobytej szabli, rachował szczyby, z których każda przypominała mu inną walkę i inne zwycięstwo.

## ROZDZIAŁ XIII.

— Już ucichło wszystko — rzekł Borowy do Stanisława Bąka, podnosząc się z gęstwiny. — „Czerwone diabły” pognały w inną stronę. Trzeba pójść „wyżerami”, a tam nas i ogary nie wytropią.

Przedzierali się przez gęste zarośla i ledwie wyszli na wąską drożynę usłyszeli bolesne jęki. Niedaleko leżał Janek Łopucha ciężko ranny. Nogę miał przestrzeloną i głowę pociętą pałaszem.

— O, moje biedactwo. Jak się to męczy. Pomocy nie ma znikąd. No, kumie, weźmiemy Janka do chaty.

Podnieśli rannego. Uszli jednak kilka kroków, a znaleźli drugiego, Kwiczola, leżącego z rozpiętą głową.

Zabrali obydwóch i zanieśli do chaty, gdzie złożyli na słomie przygotowanej uprzednio dla Karola XII.

Małgorzata już uspokojona, że mąż wrócił zdrowo, krzątała się, żeby przynieść ulgę ran-nym. Zawinęła rany, przyłożyła zioła, ale spostrzegła, że rany są głębokie.



— Mój kumie, czy nie lepiejby było zawzwać starą Maciejową. Ona zażegnałaby rany i zarazby się zgoiły.

— Niech przyjdzie i diabeł, albo sam Twardowski, a nie tylko ta stara czarownica. Roboty będzie miała dosyć, bo te „czerwone diabły“ dużo naszych nakaleczyły.

— Lepiej będzie, jak zawołacie Pastucha z Dąbrowy — wtrącił Bąk — to człowiek pobożny, zna się na ziółkach. Lepiej z czarownicą się nie zadawać, bo kto z Bogiem to Bóg z nim.

— Zapewne. Macie rację, mój kumie — przytaknął Borowy. Dla nich może ostatnia godzina już niedaleka.

— Trzeba, żeby się z Bogiem pojednali. A chcecie czarownicę sprowadzać, żeby niewinne dusze diabłu oddała. Albo to jej nie znacie. Łońskiego roku, niedaleko stąd, całe wesele w wilkołaki pozamieniała.

— Prawda, prawda — odpowiedziała Małgorzata: — Lepiej posłę Jaśka po pastucha z Dąbrowy. Jaśku, Jaśku, biegnij no, a prędko. Pokłoń się staremu z Dąbrowy i prosz niech poratuje biedaków.

Jaśko wsiadł na konia, żeby prędeej do wsi dojechać.

— A widzicie kumie — rzekł po chwili Borowy do Stanisława: — Jak nam to na złe wyszło, żeśmy wypuścili króla. Spał prze-

cież na tej słomie, gdzie teraz krew naszych ciecze.

— To to był król — zawołała z podziwem Małgorzata: — A on tak wyglądał, jak każdy inny człowiek.

— I widać — rzekł z uśmiechem Stanisław — że mu smakowały przyprawy mojej Małgosi, bo zajadał z wielkim apetytem.

— Może się wam za to odwdzięczy, kumie. Za nocleg da wam noc wieczystą i posłanie na cmentarzu, za kartofle — kulę, a za smaczną kiełbasę — postronek na szyję — mówił Borowy.

— Bóg jeden wie tylko, jaki nam jest koniec przeznaczony i niech stanie się Jego święta wola.

Borowy nic na to nie odrzekł Stanisławowi. Zbliżył się do rannych.

— Usnęli nareszcie. Niech sobie odpoczną po tym diabelskim tańcu. No, ja pójdę zajrzeć, co się w domu dzieje. Bywajcie zdrowi — zarzucił strzelbę na plecy i zniknął w nieprzejrzanym lesie.

Tymczasem rozbici Kurpie roznieśli przestach po całej okolicy. Wszyscy mówili tylko o przegranej.

Ze smutkiem przyjęła tę wiadomość wojewodzina, ale nadrabiała miną, żeby nie zmartwić chorego Telembskiego.

Nieznajomy młodzieniec, który tyle odważy wykazał w pierwszym zwycięstwie i pobi-



ciu Karola XII, a później przy zdobyciu cmentarza ostrołęckiego, siedział zamyślony w wielkiej sali i pierwszy raz w życiu wychylił puchar pełny starego węgryzyna. Przeszedł się kilka razy, znowu podstawił próżny do srebrnej beczki, napełnił i wypił.

— Ona go kocha, kocha go. Siedzi przy łożu, dogląda, pielęgnuje, a gdyby mnie tak kula pierś rozdarła, czyby zapłakała? A widziałem jak go przynieśli omdlałego, miała łzy w oczach. Ach, dlaczegoż w boju nie poległem, byłbym szczęśliwszy, nie potrzebowałbym patrzeć na to.

Przeszedł się znowu wielkimi krokami po sali. Napełnił puchar, podniósł do ust i z powrotem postawił na stole.

— Chcę się upić, stracić zmysły, żebym nie czuł, żebym zapomniał. Lecz co ona powie, gdy zobaczy mnie pijanego. Nie będzie szanowała człowieka, który przez wino traci przytomność. Precz ode mnie — i zrzucił puchar ze stołu.

— Gdyby zobaczyła moje cierpienia, troski i szaleństwa — może by się i zlitowała. A może nic nie wie o mojej miłości.

Zastanowił się chwilę nad tą uwagą i uśmiechnął się gorzko.

— Nie wie. Razem, żeśmy się chowali, razem żeśmy rośli. Wiedziała już przedtem za nim została panią wojewodzina. Jak wy-

szła zamąż uciekałem od niej, uciekałem od tych smutnych miejsc. Tyle lat...

— Teraz jest wdową, znowu swobodna. Ja jej nie zapomniałem. Nie mogłem... Kocham ją jak dawniej, nawet więcej. A ona?...

Zakrył twarz rękoma i zapłakał jak dziecko.

— I czego ty płaczesz — tłumaczył sam sobie. Czyś jej co mówił, czy ona widzi twoje łzy. Widzisz, że kocha innego, a ty...

W tym odgłos trąb, przybyłych chorągwi, obudził młodzieńca z tych smutnych rozmyślań.

Krew w nim zawrzała, serce zabiło mocniej, pochwycił za krzywy kord, zapomniał o wszystkim. Oddychał tylko wojną...



## ROZDZIAŁ XIV.

Na dworze wojewodziny Działyńskiej brzmiała muzyka, wielka sala jadalna przepelniona była szlachtą i znakomitymi panami.

Przy dużym stole siedział król August, przy nim z jednej strony pani wojewodzina, z drugiej starosta Śmigieński. Dalej nieznanomy młodzieniec, naprzeciw niego osłabiony jeszcze, wybladły Telembski. Resztę stołu zajmowała szlachta z okolic, wspierająca dotąd dzielnie prześladowanego przez los Augusta.

Po pierwszym daniu zdjęto wierzchni obrus pod nim ukazał się drugi bogato złotem przeszywany, który zastawiono nowym serwisem.

— Jesteśmy zachwyceni — mówił August ze zwykłą sobie uprzejmością. — Jesteśmy zachwyceni i tak niespodziewanym przyjęciem i ujrzeniem tak pięknej bohaterki, która dzielnie podniosła sprawę tak nieszczęśliwego króla.

Działyńska zarumieniła się i spuściła oczy.

— Najjaśniejszy Panie, nie tylko mnie należy się to podziękowanie. Są jeszcze inni, którzy również na względy Waszej Królewskiej Mości zasłużyli — wskazała na Telembskiego i nieznanomego młodzieńca.

August poznał już przedtem Telembskiego spojrzawszy więc z uwagą na nieznanomego.

— Któż to taki — zapytał.

— Jest to młody Grudczyński — rzekł Śmigieński z cicha do Augusta: — Syn tego, który będąc przeciwnikiem Waszej Królewskiej Mości, przyjął nas tak szlachetnie.

Król kazał sobie podać wielki, szczerozłoty puhar, napełniony tokajem, powstał i wznosząc go w górę, zawołał:

— Piejemy zdrowie zacnej gospodyni, której mamy tyle do zawdzięczenia i wasze — zwracając się do Telembskiego i Grudczyńskiego — jako kawalerów orderu Orła Białego.

August bowiem niedawno w Tykocinie ustanowił ten order, order zresztą pierwszy w Polsce. Szlachta, dbająca o swoje przywileje, nie przyjęła projektowanych przez Władysława Łokietka i Władysława IV, który chciał ustanowić order Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny i do którego odpowiednią ustawę przygotował Jerzy Ossoliński.

Z uszanowaniem i rozrzewnieniem wiel-



kim przyjęli obydwaj ten dar łaskowości monarchy.

— Słyszeliśmy — mówił dalej król — że jeszcze wielu innym podziękować musimy.

Działyńska dała znak. Pan podstarości Dąbołęcki, wystrojony w czarny gredyturowy kontusz, w pasowy, atlasowy żupan z karabelą w błyszczącej oprawie — na dany znak poprawił pasa, podkreślił wąsa i wyszedł z wielką powagą.

W izbie czeladnej czekali przywołani specjalnie Stanisław Bąk i Borowy. Pan podstarości przywołał ich do przedpokoju, gdzie stanąwszy przed zwierciadłem, rzekł zwolna do Kurpiów.

— Jego Excelencja, Najjaśniejszy Król Polski i Wielki Książę Litewski, król August II, chcąc wam okazać w konsekwencji sentymenta swoje, które raczył skoncentrować w jeden punkt łaskowości, raczył wydać mi ustny ordynans, do wezwania was przed swoją osobę.

Kurpie spojrzeli po sobie, ani słowa nie rozumiejąc.

— Polityka, Najjaśniejszego Pana, zniżyła się i do plebejuszów a konsekwencję tego z punktu widzenia sentymentów sami zobaczycie.

— Wielmożny Panie — rzekł Borowy — strasznie górnio pan wielmożny gada, a my jesteśmy sobie prostaczki, po niemiecku nie umiemy.

— Prawda, prawda. Zapomniałem — odpowiedział — nie zwróciłem uwagi na konsekwencję, gdy wyższego tonu, werbów, prowerbów i sentencji używałem. No, panie leśniczy — rzekł do Borowego — król chce was widzieć razem z panem bartnikiem Bąkiem.

Kurpie wytrzeszczyli oczy z podziwu tym więcej, że ów dawniej taki groźny podstarości sam ich panami nazywa.

— Ale proszę Wielmożnego — z zakłopotaniem odezwał się Borowy — jak że ja do króla gadał będę... i poskrobał się po głowie.

— Najlepiej nic nie mów, tylko się kłaniaj, a gdybyś chciał koniecznie coś powiedzieć zawsze zaczynaj Najjaśniejszy Panie lub Miłościwy Królu. No chodźcie za mną a ostrożnie, żeby się z was który nie przewrócił na śliskiej posadzce.

— Zdjął czapeczkę, ułożył ją, zarzucił wyloty kontusza, pogładził wąsy i czuprynę, otworzył wielkie podwoje. Sam wszedł pierwszy, za nim Bąk i niedźwiedziowaty Borowy.

Król August spojrział na nich. Podstarości bił jaknajniższe ukłony. Bąk i Borowy stali nieporuszeni. Król z zaciekawieniem im się przyglądał i ich ubiorowi, który dzisiaj był odświętny, bo wiedzieli, że przed Augustem staną.

Borowy gęste, długie włosy miał zaczesane, a grube ich splety zakrywały mu kark. Koszula biała spięta mosiężnym guzikiem pod



niądź za kulę się nie stanie, ani też doda odwagi. To złoto jeszcze się przyda dla kogo innego. Kurpie krwią nie handlują...

Król z podziwem przyglądał się temu prostemu wieśniakowi, co tak odważnie mówił, a odwróciwszy się do Bąka zapytał;

— Może wy przyjmiecie?

— Nie, Najjaśniejszy Panie. Jednakowo obaj my myślimy.

— A wszakże kum — rzekł z prostotą Borowy — nie chciał przyjąć worka złota od króla szwedzkiego, kiedy noc przespał w jego chacie.

— Jakto — zawołał August — Karol XII był u was?

— Tak jest, Miłościwy Królu — odpowiedział Bąk — był, ale w mojej chacie. A kto jest pod dachem Kurpia, ten może spać bezpiecznie.

— Widzę, że cnota gościnności jest powszechną w polskim narodzie — rzekł August. A zwracając się do Śmigielskiego — Wszakżeśmy niedawno sami doznali jej na sobie.

Pan podstarości stał z workiem, nie wiedząc co robić i już go chciał położyć na stole, gdy król zawołał:

— Rozdać to między służbę dworską. O Kurpiach pomyślimy jeszcze.

Pan podstarości wyszedł poważnie z sali, żeby wypełnić rozkaz królewski. Stanął na

ganku. Gościńcem pędził jeździec. Koń biegł już ostatkiem sił i zwałił się przed bramą. Jeździec zeskoczył i nie zważając na konia pobiegł przez dziedziniec.

— Czy jest król? — zapytał podstarościęgo.

— Właśnie Najjaśniejszy Pan obiada. — A chcąc okazać przybyłemu jakie on tu wielkie znaczenie odgrywa na dworze, dla dodania sobie powagi, schował trzos do kieszeni, a na głowę oburącz włożył czapeczkę.

— Ja nie mam czasu do stracenia. Donieś królowi — rzekł, klepiąc go po ramieniu — że kapitan Brand chce się widzieć z Jego Królewską Mością.

Pan podstarości skłonił się nisko i otworzył z wielkim respektem drzwi do sali, wpuszczając zakurzonego kapitana, który wręczył królowi listy.

August przeczytał przesłane pisma i porozumiał się cicho z Działyńską i ze Śmigielskim.

Starosta się porwał, dobył korda i silnym głosem zawołał:

— Do broni, bracia. Już Szwedy blisko. Borowemu zabłysły ogniem oczy. Grudczyński i Telebski dobyli szabel. Muzyka przycichła. Po sali brzmiał tylko odgłos słów: Do broni! Do broni!

Pan podstarości popijając w jednej z kom-



nat węgrzyna, usłyszał wrzawę i liczne okrzyki — do broni. Kiwnął potakującą głową, wychylił puchar i filozoficznie zaczął:

— A no, zobaczmy konsekwencję, jaka z tego wypadnie...

## ROZDZIAŁ XV.

Na niebie nieprzeliczona ilość gwiazd. Księżyc w pełni oświetlał pola przysypane śniegiem.

Kilka chat wiejskich czerniło się zdala na śnieżnej bieli. Ciszę przerywało tylko szczekanie psów, co wilka lub cudzego węszyły we wsi.

W oknach narożnego domku zabłysło światło. W chacie tej nie było radości. Stary Przeździecki, dawny rotmistrz chorągwi pancernych, leżał złożony ciężką chorobą. Jego piętnastoletnia córka Anna klęczała przy łóżu ojca.

— Moje dziecię — rzekł słabym głosem starzec — i moja godzina wybija. Czas oddać duszę Bogu, a ziemi ciało. Niedługo zobaczę się ze swoją ukochaną Marysią, matką twoją. Niepotrzebnie płaczesz. Łzami nie odwołasz wyroku, nie przedłużysz życia ojcu.

Po chwili podniósł się z trudem na łożu. Kazał sobie podać krzyż srebrny, przeżegnał



się nim, ucałował kilkakrotnie i słabym głosem zanucił:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu...”

Prześpiewał całą pieśń, położył ręce na głowie ukochanej Anny, mówiąc:

— Daję ci moje błogosławieństwo rodzicielskie. Niech cię Bóg strzeże od wszelakiego złego. Pamiętaj o matce, niech ona będzie dla ciebie wzorem.

Otarł łzy ze schorowanej twarzy.

Północ się już zbliżała. Na dziedzińcu psy gwałtownie zaczęły naszczekiwać widocznie jakiś nieznajomy zbliżał się do chaty. Wrótce za oknami usłyszeli charakterystyczny skrzyp śniegu i do izby wszedł Borowy, dźwigając omdlałego i zbrozonego krwią młodzieńca.

— Niech Bóg dopomaga! — rzekł wchodząc. Na próżnym łożu przy starym rotmistru złożył omdlałego.

— Ledwie go uniósł z pola bitwy. Trzeba mu dać jakiś ratunek jest to delikatne paniątko, a nigdzie żadnej nie znalazłem chaty.

Anna przywołała gospodynię, która leczyła w okolicy i powszechnie za doktorkę była okrzyczana. Zdjęto z rannego odzienie, obmyto rany. Otrzymał cięcie szablą przez głowę a prawą pierś przebiła mu kula.

Stary Przeździecki, chociaż w nim się ledwo duch kołatał, przynaglał córkę i gospo-

dynię do szybkiego ratunku. Borowy odpoczął, najadł się, popił wódki i zaczął opowiadać o stoczonych walce.

— Biliśmy się długo. Szwedów stertami naukladaliśmy na polu. Sam król był, a szlachty.. Walka toczyła się przez trzy dni, zażarta okrutnie. Ale jak nasi na górze utrzymać się nie mogli i ustąpili, wszyscy musieli się wycofać i król i nasza pani wojewodzina.

— Zginęła — zawołał ze smutkiem Przeździecki.

— Nie wiemy. Jedni mówili, że zginęła, drudzy, że zabrali ją czerwone diabły. Naszych Kurpiów wiele naginęło, niemało też i panów szlachty, bo też zażarcie się bronili.

— Szwedzi jednak na polu bitwy pozostali zwycięzcami. Garstka naszych najodważniejszych została zwyciężona.

Rozmowę przerwała im Anna, która docuciła zemdlonego młodzieńca i głośno oznajmiła radosną nowinę.

— Żyje, żyje! Oddychać zaczyna.

— Dzięki Bogu — rzekł stary Przeździecki. — Niech mu nikt nie przeszkadza, może usnie trochę.

Borowy wraz z gospodynią cicho odszedł do izby czeladnej. Anna uklękła przed obrazem Matki Boskiej i modliła się gorąco. Stary Przeździecki wdychał ciężko na swoim łożu.



Zegar wybił drugą godzinę. Na stole dogasała mała lampka. Ranny młodzieniec to zasypiał, to znów się budził, bredził w gorączce.

— Dalej, naprzód! O Boże — już jej nie ma. Już zginęła. Ostatni nie żyje — powtarzał, jęcząc głośno.

Borowy, uczęszczany powtórnie w izbie czeladnej, opowiadał, ze zwykłym sobie zapalem o wczorajszej walce, pani gospodyni i zgromadzonej czeladzi, która zbudzona ze snu, obsiadła wielki stół.

— To dużo naszych zginąć musiało? — rzekła pani Marciniowa. Tak się bowiem po mężu nazywała pani gospodyni.

— O nie mało — odpowiedział Borowy. — Tylko wyszliśmy z lasu, ujrzelśmy tych „czerwonych diabłów”. Na polu i we trzech wioskach było ich pełno. Król ze szlachtą i gromadką Sasów stanął nad błotami; nasza pani wojewodzina i Kurpie obsadzili wzgórze. Szwedzi nas zaatakowali. Dalej że my im trzepać skórę, już się zaczęli cofać, gdyśmy zostali niespodziewanie napadnięci z tyłu. Napróżno była wszelka obrona. Na dwie strony nie mogliśmy nadażyć. Nasza pani wojewodzina gdzieś się zapodziała w ogniu walki. Opuściliśmy wzgórze rozbici. Jak nas pobili, to i król musiał się wycofać ze swoimi. Niewiadomo nawet, gdzie się teraz obraca. W Myszyńcu spalili Szwedzi wiele domów.

Jeden kościół zaledwie uratowano i to jakby cudem.

— Nic dziwnego — rzekła pani Marciniowa. Ogień świętego miejsca się nie ima. A tam jest i obraz cudowny przecież.

— W lesie dzisiaj opowiadał nam sąsiad Łopucha — zaczął jeden z czeladzi — że Boruta opuścić musiał swój zamek w Łęczycy, gdzie skarbów pilnuje i przyleciał tutaj do nas, bo słyhać było jak się wyśmiewał z naszych żołnierzy, przeskakując z sosny na sosnę...

— I ja go słyszałem, ale wtedy myśmy porządnie Szwedów pobili, a dzisiaj... — i ze smutkiem zwiesił głowę.

— No, no proszę — zawołała pani Marciniowa — to prawda jest, co o nim gadają — i ze strachu odsunęła się od komina.

— Co prawda, to nie grzech. Swój zawsze swego wspiera. I chociaż Boruta tak daleko siedział, przywędrował czerwonym diablom na pomoc.

— Nie wiele on się zmęczył tą drogą — odezwał się pan Marcin, leśniczy, mąż pani gospodyni, który dotąd nie brał żadnego udziału w rozmowie.

— Może nie wiecie, on jak da krok to już mila, a jak skoczy to dwie mile.

— Tak to gadają — przytaknął Borowy. Krzyk młodej Anny poruszył wszystkich.



Skoczyła pani gospodyni, za nią leśniczy i służba. Borowy tylko napełnił sobie kieliszek wódki i spokojnie wypił, gdy wbiegł blady Marcia i zawołał:

— Już skończył. Umarł.

## ROZDZIAŁ XVI.

Po zwycięskiej dla Karola XII bitwie pod Myszyńcem, gdzie Kurpie zostali rozbici, a August z niedobitkami musiał się wycofać, Król zostawia generała Steinflichta i pułkownika Rebindera, żeby zupełnie uspokoił mieszkańców mazowieckich lasów, a sam podążył za nieszczęśliwym królem polskim.

August wycofując się stawiał mu opór w woj. krakowskim pod Klissowem, mając 12.000 Sasów i 12.000 Polaków. Karola armia składała się z połowy tego wojska. Król szwedzki przyjął jednak wyzwanie i walka się rozpoczęła.

Bój był krwawy. Szala zwycięstwa przechylała się raz na jedną, raz na drugą stronę. Już się nawet zdawało, że August zwycięży. Pociskiem armatnim został zabity Książę na Gotorpie. Karol XII stanął nad zwłokami tego żołnierza i chyba pierwsze i ostatnie łzy w życiu swoim jemu poświęcił. Ale krótko trwała rozpacz królewska. Wskoczył na konia i chyba żeby pomścić śmierć wojownika, rzucił się z furią na czele w sze-

regi nieprzyjacielskie. Atak był tak gwałtowny, że go odeprzeć nie było można.

Dostrzegł August, że wojska jego wycofują się, więc sam na czele dragonów saskich i jazdy polskiej pod dowództwem Śmigielskiego rzuca się w wir walki.

Obaj królowie walczyli jak prości żołnierze, nie ustępując nikomu w męstwie, narażając się jeszcze odważniej od innych.

Olbrzymią siłą zrzucił August z koni Szwedów, a każdy cios jego szabli był śmiertelny. Przy jego boku walczył Śmigielski, który nie ustępował królowi i w sile i w męstwie. W wojennym zapale i uniesieniu rzucali się obydwa w tłum, gdzie najkrwawsza wrzała walka, a gdziekolwiek błysły ich szable, przeredzały się szeregi, powstawał popłoch i trwoga.

Karol XII, oskoczony zewsząd, zawsze swoim długim, prostym rapierem, mężnie utarował sobie drogę do swoich, a stanawszy na ich czele znowu rozbijał saskie szeregi.

W zamieszaniu, kurzawie i zgiełku bitwnym trudno było rozpoznać, która strona bierze górę, bo walka toczyła się na równinie i niekiedy tylko dojrzeć było można pojedynczo uciekających lub spadających z koni.

August oddzielony od swoich, pchany w tłumie, ledwo mógł władać orężem. Utorował sobie przecież drogę i zwaliwszy jednym

cięciem szwedzkiego jeźdźca, który go atakował, spojrzął do koła.

Ujrzał w pobliżu chorągiew polską z Białym Orłem i poskoczył ku niej. Tutaj Telemski dowodził, stawiając opór większym siłom przeciwnika dowodzonym przez samego Karola XII.

Obaj królowie spotkali się prawie, że oko w oko. Dawniej było w zwyczaju, że w takim wypadku ścierali się ze sobą w pojedynku. Tutaj tylko uprzejmie się pozdrowili, kłaniając się kapeluszami.

Walka jeszcze trwała zawzięta. Na lewym skrzydle udało się Szwedom rozbić wojsko. Wycofujący się z lewego skrzydła zmieszali i resztę. Wszystko poszło w rozsypkę. Napróżno zachęcał i przywoływał August, napróżno z kilkoma chorągwiami wznawiał walkę Śmigielski. Działa szwedzkie przeredziły je prędko, a król polski uchodzić musiał, patrząc na zwycięskie sztandary Karola XII.

W nieładzie, napierani przez Szwedów, wycofywały się wojska saskie i polskie, zostawiając nawet działa. August z kilkoma oficerami jechał w stronę lasu, żeby się tam bezpiecznie skryć, gdy zaatakowała go z boku jazda szwedzka. Zginąłby pewno August II, gdyby nie Telemski, który wpadł na Szwedów ze swoją chorągwią i rozniósł na cztery strony. Król odjechał spokojnie dalej,



a Telembskiego odłamek pocisku z działa przewrócił z koniem.

August z jednym tylko kapitanem Brandem dostali się szczęśliwie do lasu.

Karol XII wykorzystał to zwycięstwo do końca. Po niedługim odpoczynku ruszył drogą do Krakowa i zajął tę historyczną stolicę Polski.

Król Polski tymczasem w towarzystwie jednego oficera, zmęczony przedzierał się przez lasy.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Brand — tutaj możemy spocząć. Nic nie słyhać wokoło. Nieprzyjaciel widocznie się zatrzymał.

August zsiadł z konia, zdjął kapelusz i otarł pot z czoła.

— Niestety ciągle mnie prześladowa — wyrzekł te słowa monarcha z wielkim smutkiem. — Muszę patrzeć jak los strasznie doświadcza tych, co wspierają moją stronę. Ledwie gdzieś zabłyśnie gwiazda nadziei, wnet ciemną chmurą się zakrywa. Tyle poświęceń, tyle męstwa, tyle przelanej krwi — wszystko na nic. Naprózno moi poddani chcecie wspierać tron swego nieszczęśliwego króla. Zostawcie go lepiej własnemu losowi, niech się nad nim napastwi dowoli.

— Najjaśniejszy Panie! Nie wolno nam tracić zupełnie nadziei.

— O przestań się raz wreszcie łudzić tą nadzieją. Ile już razy ona nas zawiodła. I

teraz znowu mamy jej wierzyć? Widziałeś ilu na polu bitwy legło moich mężnych przyjaciół i poddanych. I jakaż wreszcie może być nadzieja. Mężni Kurpie zgruchotali raz potęgę Karola XII, ale teraz oni zostali pokonani, a dzielna wojewodzina Działyńska na pewno poległa. Resztki wojsk moich, które z takim trudem zebrałem rozbite i rozproszone. I ty się jeszcze chcesz łudzić kapi-tanie?...

Ale Brand zamiast odpowiedzi położył palec na ustach na znak milczenia. W gęstwinie słyhać było chrzęst. August porwał za pistolet turecki bogato oprawny w srebro, ale schował go z powrotem za pas.

— To nasz dzielny kozak przecież — zawołał. A gdzie twój pan?

Był to Hryć, pachotek Śmigielskiego. On także szukał w lesie schronu.

— Miłościwy królu — rzekł zdejmując czapkę. — Bóg jeden wie, gdzie się teraz obraca mój pan.

— A znasz tę okolicę — spytał August.

— Jak nasze stopy. Myśmy tutaj nieraz polowali.

— Dzięki Bogu. Mamy teraz dobrego przewodnika — rzekł król do Branda. — Prowadź więc nas.

— Gdzie rozkażesz, Miłościwy Królu.

— Do Sandomierza! Tam się jeszcze trzymają moi.

Kozak ruszył naprzód. Za nim jechał Brand, obok elektor saski, bo tytuł króla polskiego pozostał już tylko tytułem.

## ROZDZIAŁ XVII.

Huk dział rozlegał się jeszcze. Świstały kule z broni ręcznej.

Telembski stał zadumany nad swoim zabitym koniem.

— Cóż się dzieje teraz królem? Gdzie on się obraca? — pomyślał. — A co ja pocznę teraz bez mego bułanka?

Westchnął i poszedł wąską drożyną, wiodącą w ciemny bór. Zamyślony i zatroskany nie poznawał nawet okolicy, przez którą przechodził. Z zadumy przebudził go głos dzwo-  
nu z wieży kościelnej, wzywający na Anioł Pański. Pobożnie odmówił modlitwę i ucałował ziemię.

Ten dzwon mu coś przypominał. Dawno to już było, kiedy odjeżdżał od Zosi, tak samo dzwonił...

— Czy to tu, czy nie — mówił sam do siebie. — Taki sam las i kościółek i pola, gdzie nieraz na zające polowaliśmy. Ale powinien być krzyż na rozstajnych drogach, przy nim jarzębina, dalej, kościółek a później dwór, gdzie mieszka moja Zosia.



Westchnął i przyspieszył kroku.

— To tutaj jestem, w Jazdowie — zawołał uradowany. Oto krzyż i jarzębina, kościółek. Lecz co to. Dymi się. O mój Boże, to się pali.

Wybiegł na wzgórze, ujrzał kilka płonących chat. Chciał zobaczyć dwór, ale słupy czarnego dymu przesłaniały mu widok.

— Święty Stanisławie, ratuj nieszczęśliwych — biegł co siły.

Odgłos dzwonu kościelnego nie ustawał. Dzwonił teraz coraz głośniej, coraz smutniej, już nie na modlitwę, a na trwożę, na ratunek.

Ciemne bałwany dymu, przy zachodzącym słońcu, wyglądały strasznie.

Wbiegł do wsi. Prawie cała wieś spalona. Tu i owdzie dopalają się belki. Na pogorzeliiskach sterczą samotne kominy.

Telebski przebiegł całą wieś. Dobiegł do dworu.

— Nie pali się — wykrzyknął. Chwała Bogu!

Na podwórzu było pusto. Ciszą zupełną. Wszedł na ganek, drzwi do pierwszej i drugiej komnaty otwarte. Doszedł do sypialni, gdzie dziwny się jego oczom przedstawił widok.

Na kominku palił się ogień, przy nim siedział stary Ordon w podartej bekieszy i opatrywał sobie skaleczoną nogę.

Żona jego w lisiej jubce stała przy kolebce i płakała. W komnacie wszystkie sprzęty w nieładzie wielkim porozrzucane. Szyby w oknach powybijane.

Ordonowie nie zauważyli wejścia Telebskiego tak byli zajęci sobą.

Dopiero gdy ten zakaszłał, Ordonowa zawołała:

— Matko Boska Częstochowska. Kto tutaj?

— Czy nie poznajecie?

— To nasz poczciwy Stasio — zawołał Ordon. — Skądże to Bóg prowadzi.

— Telebski przywitał się z nim serdecznie, ucałował ręce pani Ordonowej i chciał powitać małą Jadwisię.

Nachylił się nad kołyską. Zdziwił się, że dziecko całą głowę miało we krwi. Zrozumiał. Spojrzał na matkę.

— Śpi, śpi moja Jadwisia — rzekła pani Ordonowa i zaniósła się od płaczu.

Stary Ordon również otarł łzy, które mu spadały na posiwiałe wąsy.

— Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze, moja Małgosiu. Niech się dzieje święta Jego Wola.

— Nie żyje? Kto ją zamordował? — zapytał Telebski.

— Ci, co krwią zaleli nieszczęśliwą Polskę, a miasta i wioski w perzynę obrócili. Ci, co ani na wiek, ani na starość nie zważają. Oni i mnie pokaleczyli — rzekł Ordon, wskazując na skaleczoną nogę.

— Szwedy przeklęte! — złapał Telebski małą Jadwisę z kolebki i zaczął ją całować.

Matka zerwała się od komina.

— Przestraszysz mi ją mój Stasiu — ale spostrzegłszy się co mówi, gorzko się uśmiechnęła.

— Już się nie obudzi, usnęła na zawsze. Telebski położył dziecko z powrotem do kolebki.

— Gdzież moja Zosia?

— Nie ma jej.

— Porwali ją! — zawołał z wściekłością i żyłastą dłońią chwycił za rękojeść szabli.

— Dzięki Matce Boskiej, że nie była z nami, jak Szwedzi wpadli. Przed dwoma dniami odjechała do pani wojewodziny i tam zapewne jest bezpieczna.

Telebski odetchnął swobodniej. Zrzucił burkę, odpasął kord i zasmucony usiadł przy starym Ordonie.

## ROZDZIAŁ XVIII.

Po zwycięskiej dla Karola XII bitwie pod Klissowem, nie miał już August żadnego dla siebie ratunku. Wypierany ciągle, uchodzić musiał do Saksonii, a za nim ślad w ślad postępował król szwedzki aż wreszcie stanął obozem pod miasteczkiem Altranstadt, pięć tylko mil od Lipska położonego.

Telebski wzywany, spieszył właśnie do Drezna, gdy August zmuszony, przyjął warunki podane przez Karola XII i je podpisał. Między punktami paktu najważniejszy był ten, ażeby Jan Reinald Patkul, który jako poseł Piotra Wielkiego, znajdował się na dworze saskim, został wydany. Długo się wahał August, co ma zrobić. Polecił wreszcie aresztować posła i zamknąć go w fortecy, w Königstein. Piotr Wielki dopominał się o wypuszczenie swego posła, zwracając uwagę, na złamanie ogólnie przyjętych praw międzynarodowych, ale Karol XII jeszcze w ostrzejszej formie dopominał się o jego wydanie.

August po uwięzieniu Patkula ogłasza, że ten działał wyraźnie na jego szkodę, i że zostanie wydany Karolowi XII.



Piotr Wielki zawiadomił go przez specjalnego posła, że jeżeli nie zwolni Patkula, to on będzie się mścił na wszystkich Polakach, którzy są w jego ręku.

Znakomita, piękna i bogata, Saksonka, pani Einsiedel, zaręczona z Patkulem, codziennie błagała Augusta na kolanach o uwolnienie narzeczonego.

Król wahał się ciągle. Nad wieczorem kazał zawezwać do siebie Telembskiego.

— Weźmiesz sobie dwudziestu ludzi z mojej przybocznej gwardii i bezwzględnie pospieszysz do Königsteinu. Zabierzesz stamtąd uwięzionego Patkula i wydasz go królowi szwedzkiemu.

— Jakto, Najjaśniejszy Panie, posła obcego mocarstwa?

August rozgniewany powtórzył:

— Tak, Patkula, posła obcego mocarstwa. Idź, wykonaj rozkaz i doniesiesz mi o tym zaraz.

Telembski wyszedł, aby posłusznie wypełnić otrzymany rozkaz.

— Spodziewam się — rzekł sam do siebie August — że go już tam nie znajdzie. W ten sposób ochronię i własną sławę i dopełnię warunków traktatu podanych przez Karola.

Do komnaty wszedł oficer służbowy i oddał urzędową korespondencję.

— Skąd to? — zapytał August.

— Z Altranstadtu, z obozu króla szwedzkiego.

— Więc znów Karol — rzekł August, gdy sam został — jeszcze czegoś pragnie. Ciekawym.

Przeczytał pismo i ironicznie zawołał:

— Nie długo chyba zechce, żebym został marszałkiem dworu, Leszczyńskiego, którego sam królem ogłosił. Chce, żebym napisał list z życzeniami, z okazji wstąpienia na tron, Najjaśniejszemu Stanisławowi I, co to z wojewody niedawno został Najjaśniejszym Panem...

\* \* \*

Telembski przybył do fortecy, okazał gubernatorowi rozkaz Augusta i na czele oddziału wszedł do więzienia.

Patkul, zapytał ich uprzejmie poco przychodzą.

— Z wyraźnego rozkazu króla Augusta, odprowadzić was muszę do obozu Karola XII — odpowiedział Telembski.

Wzdrygnął się na te słowa Patkul.

— Jakto mnie Karolowi kazał wydać August? Trudno. Jestem gotów, prowadźcie mnie na pewną śmierć.

Telembski oddał strażę szwedzkiej więzienia i sam wrócił, żeby donieść Augustowi o wykonanym rozkazie.



— Zastaleś Patkula? — zapytał go król.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie. Wydany został Szwedom.

August ze zdziwieniem zawołał:

— Był więc tam jeszcze?

— Był Najjaśniejszy Panie i teraz już pewno nie ucieknie. Zakuto go w kajdany.

— Nieszczęśliwe moje przeznaczenie. Cóż teraz świat powie o Auguście?

Dał znak Telembskiemu, żeby odszedł.

W istocie August miał zupełnie inny plan. Przed wysłaniem Telebskiego, powiadomił gubernatora więzienia, żeby ten ufatwił Patkulowi ucieczkę. Gubernator wiedząc o tym, że Patkul jest zamożnym człowiekiem zażądał od niego okupu za wypuszczenie z więzienia.

Więzień nie wiedząc, co go czeka, nie chciał dać okupu, zasłaniając się prawami międzynarodowymi. Targi z gubernatorem się przedłużyły i Telebski, kiedy przyjechał, zastał jeszcze Patkula zamkniętego w celi.

Wydano go Karolowi, który rozkazał przywiązać go łańcuchami do działa i prowadzić do Polski, gdzie miał ponieść śmierć męczeńską.

August po chwili kazał przywołać do siebie z powrotem Telebskiego i wręczył mu pismo.

— Jest to ostatnia usługa jakiej żądam od

ciebie. Przestałem już być królem Polski, jestem tylko elektorem saskim. Uwalniam was od dalszych usług, które dotąd z wiernością i wielkim poświęceniem wykonywaliście zawsze.

— Jako, Najjaśniejszy Panie— rzekł wzruszony Telebski— więc i oręża nie mogę już dobyć w obronie mojego króla.

— Napróżno, dzielny mój i kochany obrońco! Zresztą kto chce dziś popierać prześladowanego Augusta?

— Dla serc uczciwych wiara jest powinnością, a przysięga obowiązkiem! Najjaśniejszy Panie, chociaż usłyszałem z ust Waszej Królewskiej Mości wyrok, sądzę, że to nie nakazuje ażebym krew swoją i wiernych tobie nie mógł poświęcić w obronie praw naszego króla. Śpieszę teraz dopełnić poleceń Waszej Królewskiej Mości, ale znajdę jeszcze pole, gdzie w imieniu Augusta dobędę korda.

Król rozrzewniony tym powiedzeniem włożył na szyję młodzieńca łańcuch złoty z wizerunkiem swoim. Telebski przykląkł i pocałował monarchę w rękę.

— Niech ci to przypomina zawsze króla, który chociaż nieszczęśliwy, czuje się dumny, że nad takim panował narodem, który przysięgi danej swemu monarsze, który szanował jego prawa, nie złamał. Bądź zdrow — rzekł August — i nie zapominaj o tym, który was kocha.



Telembski smutny opuścił komnatę. Dosiadł konia, żeby wykonać otrzymany rozkaz.

W Altstadcie nie zastał jednak Karola, który z wojskiem wycofywał się z powrotem w granice Polski.

## ROZDZIAŁ XIX.

W swojej sypialnej komnacie leżała w łóżku wojewodzina Działyńska ciężko ranna w nogę.

Przy niej z zapłakanymi oczami siedziała Zofia Ordonówna i czytała świeżo odebrany list od rodziców.

— Więc on tam był? Bogu niech będą dzięki, że zdrowo wyszedł z tej nieszczęśliwej walki. A gdzie się teraz obraca? — zapytała Działyńska.

— Wyjechał do Drezna.

— Nie prędko go zapewne zobaczymy, moja Zosiu. A ty tęsknisz za nim. Zakochałaś się w swoim Stachu. Nie dziwię ci się zupełnie. Wiem, co to miłość, znam jej rozkosze i cierpienia. Nie płacz. Jak Stach przyjedzie, żeby nie spostrzegł, żeś zmierzniała z tęsknoty. Naucz się lepiej wcześniej znoś odważnie chwilowe kłopoty. Ileż ja ich sama przenieść musiałam. Dolega mi tak rana. moja Zosiu, podłóż poduszkę może mi lżej będzie.

Do sypialni wszedł pan podstarości Dę-

bolećki, wystrojony jak w tamtym dniu uczyty, kiedy to siedział na ręku Borowego.

— Cóż nowego przynosicie — zapytała wojewodzina.

— Jaśnie Wielmożna Pani, nie najlepsze nowiny. Król August został pobity pod Klissowem zupełnie. Szwedzi zajęli Kraków. Stanisław Leszczyński został już koronowany. Wokół nas coraz gęściej gromadzą się „zamorcy” i coraz częściej zaglądną w nasze lasy. Polityka — i znów zaczął mówić swym górnołotnym stylem — na inny punkt się zwróciła, a sentymenta...

— Jakże się Szwedzi obchodzą z naszymi? — przerwała mu wojewodzina.

— Jak Tatar z niewolnikami w jasyrze, Jaśnie Wielmożna Pani. Wczorajszej nocy wpadli do wsi Podlaski, tej położonej niedaleko Myszyńca. Zapalili ją z czterech stron. Dziewczęta i niewiasty do obozu uprowadzili, a wszystkich Kurpiów wywieszali.

— Na rany Chrystusa — zawołała Działyńska.

— Takiej zbrodni nie daruję, pomszczę się za to okrutnie. Na coś podobnego chyba by się tylko sam szatan odważył. I jakże to się stało, że oporu im nikt nie stawiał.

— Bo w nocy napadli na śpiących, a poza tym „czerwonych diabłów” było dziesięć razy więcej. Ze dwora Jaśnie Wielmożnej

Pani też było widać łunę, jak się paliło. Uderzono na gwałt, ale wszystko zapóźno.

— Boże dodaj mi siły. Dozwól, żeby moje rany zagoiły się prędzej, abym mogła się pomścić za gwałty i okrucieństwa. Zawołaj tu Borowego. Niech staną w pogotowiu hajduki, a chorągwie nadworne niech dosięgną koni.

Pan podstarości odszedł z ukłonem.

— Większą mam boleść, moja Zosiu, że z łoża powstać nie mogę niż z samej rany. Ach, dlaczego teraz nie ma tutaj twego Stasia albo Grudczyńskiego, zarazby mnie wyręczyli.

Pan podstarości wrócił, przyprowadzając ze sobą Borowego, który tylko co widocznie z walki powrócił, bo twarz, włosy, całe ubranie zbryzgane miał świeżą krwią.

— Skąd przybywacie — zapytała pani wojewodzina.

— Z Myszyńca. Z nadsypką oddaliśmy za swoje „czerwonym diabłem”. Ani jeden żywy z miasta nie uszedł. Jak prosięta, żeśmy wykłóli. A kwik daleko było słyhać...

— Jak wam się to udało?

— Zdrada za zdradę, Jaśnie Wielmożna Pani. „Czerwone diabły” w nocy naszych zeszli i my w nocy. Jak uderzono na gwałt we dzwony, że się Podlaski palą jeszcze piłem sobie z kumem w karczmie. Później okazało się, że Szwedy dziewczęta i niewiasty, co młodsze, z sobą uprowadzili, a chło-



pów wywieszali. Bronić było ich trudno. Zebrałem naszych, kazałem zaczekać aż wróca Szwedy do Myszyńca i zasną spokojnie.

— Po cichu wsunęliśmy się do miasta i już każdy wiedział, gdzie jest zwierzyna. Zaczęliśmy polowanie. Ja wpadłem do domu, stojącego blisko kościoła, w którym mieszkali starsi. Było ich pięciu. Pili i śpiewali sobie wesoło. Ja im zaśpiewałem jeszcze weselej. Jeden młody na kolanach błagał o życie, zlitowałem się nad nim, nie uderzyłem go siekierą, ale zdusiłem jak czeczotkę. Nikt nie próżnował, wszyscy mieli roboty poddostatkiem. Zabraliśmy dużo koni i broni. Wszystko to niedługo będzie przywiezione do dworu Jaśnie Wielmożnej Pani.

— A dowódca z Myszyńca? — zapytała Borowego Działyńska.

Kurp roześmiał się głośno, otworzył szerokie usta i pokazał zęby białe jak kły dzika.

— O, Jaśnie Wielmożna Pani, prosił, klękał, płakał i błagał jak mu śmierć zajrzała w oczy. Ale, że z jego rozkazu Podlaski zostały spalone i on kazał porwać dziewczki, nie mogliśmy mu darować, ażeby się nie męczył długo, Kwiczół poderżnął mu gardło.

Zosia aż się odwróciła w drugą stronę, żeby nie patrzeć na Borowego, opowiadającego z uśmiechniętą twarzą o takich okropnościach i zbrodniach. W duchu cieszyła się,

że jej Staś jest daleko i nie brał udziału w tej strasznej wyprawie.

— Spocznijcie sobie po trudach, mój leśniczy. Pan podstarości każe wam dać wódki i jadła.

Borowy skłonił się nisko i wyszedł za podstarościm do czeladnej izby. Tu zasiadł za stołem, rwał po kawale kielbasy i popijał wódką.

— Ale czuję dzisiejszą robotę. Kości więcej bolą niż po żniwach. O, panie — zwrócił się Dęboleckiego — i sam Twardowski, gdyby tam był, zapociłby się krwawym potem.

Otarł pot z czoła i poprawił długie, aż mokre od krwi włosy.

Zosia tymczasem jeszcze nie mogła przyjść do siebie po opowiadaniach Borowego. Spostrzegła to Działyńska.

— Jakże się ci podobał nasz bohater?

— Okropny. To chyba szatan nie człowiek. Ile on krwi wylał i śmieje się z tego. Jakże się cieszę, że nie było tam mego... i zawstydzona nie dokończyła.

— Że twego Stasia tam nie było, chciałaś powiedzieć — dokończyła Działyńska. — O, on w stokroć straszniejszych był bitwach i na wszystko musiał patrzeć. A w bitwie nie znajdziesz ludzi, tam wszyscy się mordują jak dzikie zwierzęta. Człowiek powoli przywyka do tych okropnych widoków. Serce drętwieje, staje się nieczułe na ból, na żal,

na litość. Sama to przecież przeżywałam. Przy tej całej grozie można kochać, można kochać gorąco, namiętnie..

Zamilkła wojewodzina, jakby za wspomnieniami dawnymi, westchnęła tylko boleśnie.

Wszedł pan podstarości i oznajmił, że hajducy stoją już pod bronią, a cztery nadworne chorągwie dosiadły koni.

— A sentymenta ich — wyrzekł z powagą — czekają dla siebie wskazania punktu od Jaśnie Wielmożnej Pani.

— Sto hajduków i dwie chorągwie niech zajmą Myszyniec, niech się tam okopią woisko jak można najprędzej. Reszta ma czekać w pogotowiu dalszych rozkazów. Broń zdobytą rozdać pomiędzy Kurpiów. Ci co nie mają koni lub mają chore, niechaj je sobie wymieniają w nadwornych chorągwiach.

Pan podstarości z poważną miną przeszedł do jadalnej komnaty i zakomunikował rozkazy wojewodziny, zebranych dowódców.

Zawezwał potem do siebie leśnika Borowego, ażeby mu całą wyprawę jeszcze raz opowiedział, albowiem „chciałbym przewidzieć dalszy punkt, jaki sobie polityka obierze”.

## ROZDZIAŁ XX.

Karol XII z pod Altranstadtu wycofał się z powrotem do Polski. Zadowolony był, że udało mu się wymóc na Augustie — zrzeczenie się korony, wydanie Patkula, któremu surową szykował karę oraz napisanie listu do Stanisława Leszczyńskiego z życzeniami z okazji wstąpienia na tron.

Telemski, który wiózł od Augusta odręczne pismo dla króla szwedzkiego, dopędził go dopiero w Kazimierzu, gdzie Karol specjalnie się zatrzymał, aby urządzić sąd nad Patkulem.

W niewielkim, murowanym dworku zamieszkał król, jedną z izb, dawną, małą sypialnię przeznaczył na chwilowe więzienie dla swojej ofiary.

Nieszczęśliwy Patkul leżał skrępowany na podłodze pod ścianą, wiedział, że już został wyznaczony skład sądu wojennego, oczekiwał teraz na wyrok.

— O, moja, Elizo, najdroższa — myślał sobie — już się na pewno zbliża moja ostatnia



godzina. Nie pomogą tu błagania i prośby o litość. Tajemniczy los każe nam się rozdzielić na zawsze.

Te smutne rozmyślania przerwało mu wejście do izby kapłana.

— Jakież wyrok? Co mi przynosisz mój ojciec. Życie czy śmierć.

— Mój synu, bądź mężnym, miej ufność w Bogu.

— Rozumiem — odrzekł Patkul. — Każesz mi być mężnym. Znaczy tyle samo jakbyś powiedział gotuj się na śmierć.

— Tak jest. Bądź mężny i gotuj się na śmierć, bo już niedługo ostatnia uderzy dla ciebie godzina.

Patkul nie spodziewał się takiego wyroku. Wlepił wzrok w kapłana, jakby nie wierzył, czy ten prawdę rzeczywiście mówi. Ale w oczach kapłana, wyczytał, że straszny wyrok rzeczywiście zapadł.

— Mój synu — rzekł ojcowskim tonem kapłan — przyszedłem poto, aby przygotować cię na śmierć.

— Jaki wyrok sąd wojenny wydał?

— Wyrok śmierci.

— A król?

— Zatwierdził go w całej rozciągłości i jeszcze dziś kazał wykonać.

— Dzisiaj jeszcze — smutno powiedział. — Nie znajdę więc litości i przebaczenia nigdzie.

— Nie upadaj na duchu, mój synu. Litości i przebaczenia tam szukaj — rzekł kapłan, wznosząc rękę w górę. — Tam jest nasz ojciec, ojciec wspólny, który zbłąkane dzieci z dobrocią przygarnia do siebie. Tylko zatwardziałym i świadomie idącym fałszywą drogą szykuje różgę kary. Jemu zaufaj, bo niedługo staniesz przed obliczem Stwórcy świata. Wspowiadać się, pozbać się tych trosk, cierpień i grzechów, ja ci dopomogę. Bo Chrystus Pan powiedział: „Zaprawdę powiadam wam, co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie”. — Stań więc oczyszczony z grzechów przed tronem Stwórcy. Lżej ci będzie opuszczać ten padoł płaczu i nieprawości.

— Kiedy więc wybije dla mnie ostatnia godzina?

— Natychmiast skoro tylko przygotuję cię do niej i odejdę stąd.

— Król Karol odrzucił więc pieniądze ofiarowywane jako wykup za mnie.

— Tak jest mój synu. Nietylko nie przyjął twoich 100.000 talarów, ale i 300.000 talarów, które składała twoja narzeczona.

— O, moja biedna Elizo! — Wyjął jej wizerunek, który na piersiach zawsze nosił i zwracając się do kapłana, prosił: — Mój ojciec, oddaj go mojej Elizie. Powiedz jej, że ja zawsze kochałem. A stojąc już tak blisko



grobu, ostatnie moje westchnienie Bogu, ojczyźnie i jej poświęcam.

Otarliży, które mu się zakręciły w oczach, ukląkł i zaczął się spowiadać.

Gdy nachylony klęcząc odbierał rozgrzeszenie, gdy po tym wspólnie z kapłanem zanosił modły, nabierał męstwa i otuchy, jakiej każdemu w ostatniej godzinie życia, gdy go wszyscy z tego świata opuszczają, jeden Bóg tylko udzielić może.

Kapłan dokończył modlitwy, chciał już odejść, ale pozostał jeszcze na prośby Patkula.

— Mój ojcze przygotowałeś mnie na śmierć, ale mimo moich nalegań nie powiedziałaś, jakiego ona będzie rodzaju.

— Synu — rzekł kapłan, przytulając go do piersi — gotuj się na śmierć, ale na śmierć okropną.

— Na jaką śmierć, na okropną?...

— Okropna będzie, sroga. Wyrok zapadł przecież, król potwierdził. Będziesz żywcem kołem łamany i ćwiartowany.

Patkul zemdlony osunął się na ziemię. Kapłan wyszedł z izby, polecając straży, aby więźnia do przytomności doprowadziła.

\* \* \*

Telembski ledwie stanął w Kazimierzu, zaraz został odprowadzony do królewskiej

komnaty, gdzie wręczył Karolowi XII otrzymane pisma.

Król szybko je przeczytał, wyjął z ironicznym uśmiechem list w którym August przesyła wymuszone życzenia dla Stanisława Leszczyńskiego i skinąwszy na jednego z oficerów powiedział.

— Zawieziesz ten list bezzwłocznie Najjaśniejszemu Stanisławowi I, bratu naszemu. Elektor saski — rzekł z przyciskiem — składa Mu w nim swoje najlepsze życzenia. Co do was — zwrócił się do Telembskiego — mamy nadzieję, że zechcecie być na widowisku, w którym główną rolę będzie odgrywał jeden zdrajca. Po wypełnionym wyroku na Patkulu stawicie się przed nami.

Telembski w milczeniu skłonił się i wyszedł z królewskiej komnaty.

Po wykonaniu wyroku oficer szwedzki wraz z Telembskim stanął przed królem.

— Najjaśniejszy Panic. Wyrok spełniony. Patkul nie żyje.

— Czy widziałeś? — zapytał Telembskiego.

— Tak jest widziałem, Najjaśniejszy Panie i czułem — dodał z naciskiem na ostatnim słowie Telembski.

— Taką karę — zawołał z gniewem — każdemu zdrajcy Karol XII wymierzy.

— Możesz udać się do króla Augusta. Powiedz mu, że najważniejszy warunek traktatu w twoich oczach został spełniony. Niech



się pożegna także z koroną polską, bo ją już kto inny od nas otrzymał. Może siedzieć spokojnie w Dreźnie. Karol na północy teraz rozpocznie swoje działania. Powiedz swemu królowi, że dla mnie Piotr teraz Petersburg buduje.

Telembiski nic nie odpowiedział i wyszedł.

— O niech przekłete będzie imię twoje i sława twoja — pomyślał — kiedy dla niej tyle krwi i morderstwa potrzeba.

Siadł na konia, dał mu ostrogę i szybko odjechał z tego miejsca jednej, wielkiej zbrodni. Dopiero w głębokim lesie zatrzymał się i odpoczął po trudach.

## ROZDZIAŁ XXI.

— Do stu szatanów, dawaj żydzie więcej wódki. Cóż ty dla hajduka półkwartek stawiasz? Dawaj tu kwartę — wołał już dobrze podpity Jan Śniegurek, hajduk z chorągwi wojewodziny Działyńskiej.

— Żeby cię diabeł żydzie porwał — pomagał mu krzyżeć kozak Kiryłło.

Żyd postawił duży gąsior szumówki na stole. Śniegurek nalał sobie w największą szklankę, wznosił ją w górę i rzekł do swoich towarzyszy:

— Nasze zdrowie, a śmierć „czerwonym diablom“.

Roztworzyły się nagle drzwi izby w których ukazał się najpierw pijany zupełnie Kurp. Kwiczół. Ledwo się przez próg przegramolił, bo nogi mu odmawiały posłuszeństwa, a zobaczywszy w izbie tyle szlachty strojnej i hajduków, zdjął z szacunkiem kapelusz, skłonił się nisko i zatoczył się w rozmachu aż na ławę, na której mocno usiadł.

Za nim wszedł Borowy, którego czerwony kark i zarumienione policzki, świadczyły, że nie mało jadł i pił.

— To nasz Borowy! To nasz gajowy — wykrzyknęli hajdacy. — Do nas tu kumie. Zdrowie wasze — i wnet gąsior wypróznili.

Borowy niewiele się wymawiał, a chociaż już był dobrze podchmielony, przetrzymał wszystkich, a najwięcej śmiał się z Kwiczola, który kiwał się na ławie, kiwał, aż wreszcie spadł pod ławę i tam dopiero smacznie zasnął.

Gwar się powiększał, trunek rozgrzewał głowy, rozplątywał języki. Każdy chciał mówić i każdy chciał, żeby go słuchano. Przekrzykiwał więc jeden drugiego. Śniegurek dotrzymywał placu i chociaż zachrypl już porządnie, bez przerwy opowiadał o walce i wyrżnięciu Szwedów w Myszyńcu.

Borowy, chodząc po izbie z kapeluszem na bakier, poświstywał sobie wesoło, a podchmielony kozak Kiryłło śpiewał przy bandurce swoje dumki.

Borowy trochę mu pomagał, ale jak grzmotnął sobie jeszcze jedną szklanicę wódki, zaśpiewał sam swoim grzmiącym głosem popularną we wszystkich gospodach piosenkę.

*Ożeniłem się na Mazowszu  
Wziąłem w posagu trzy ćwierci owsu,  
Trzy ćwierci owsu, dwie beczki sieczki,  
Trzeba się cieszyć z takiej dzieweczki!  
Ani poduszki, ani pierzyny,  
Pójdziemy chyba spać na grochowiny..."*

Donośny głos Borowego nawet Kwiczola obudził, który usłyszawszy znaną sobie melodię zaczął pod ławą pomrukiwać. Nasz leśniczy skończył śpiew, podniósł szklanekę w górę i połknął jej zawartość jak ślimaka.

— Tak — wykrzyknął już dobrze podпиты—bij na kwaśne jabłko, gdy Szwed się nawinie. Śmierć „czerwonym diabłom”!

— Niech zginą — zawołał Śniegurek.

— Różnąć wrogów — krzyczeli kozacy.

— Niech giną — powtórzyli wszyscy.

— Niech giną — rzekł na końcu Kwiczol, leżąc jeszcze pod ławą.

Janek Łopucha zaczął się śmiać do rozpuku jak to zwykle u pijanych bywa.

— Uściskajmy się kumie — zawołał do Borowego. — Dajcie no pyska. Ja cię kocham, o strasznie kocham.

Borowy wyciągnął ramiona, żeby go uściskać, ale ten jak się machnął w bok i zamiast do kuma uderzył głową o róg stołu.

— Trzymaj się! Nie daj się — krzyczał Kwiczol z pod ławy.

Borowy podniósł Łopucha. Miał rozciętą skroń.

— Wody, wody — zawołał Śniegurek.

— Lepiej, żydzie, dawaj wódki to się rana prędzej zagoi — rzekł Borowy.

Arendarz podał Łopuchowi kieliszek wódki, a ten zamiast nim ranę przemyć, wypił najspokojniej.



— Ha, ha, ha — roześmiał się Śniegurek, a z nim inni hajducy i kozacy.

Łopucha, który od mocnego uderzenia otrzeźwiał trochę, obraził się ich śmiechem i zawołał rozgniewany.

— Czego się śmiejesz, jakbyś diabła weselnego połknął i szklanką czystej wody popił.

— Cicho skórko na buty -- odpowiedział Śniegurek — bo ci wytatarujemy skórę. Zobaczysz.

— A ty, pogański synu — zawołał zapewniony od gniewu Łopucha i rzucił w niego kieliszkiem.

— Co ty, rozbój zaczynasz robić na publicznej drodze? Zaczepki szukasz? Co? — wołali jeden przez drugiego hajducy, podsuwając się bliżej.

— Ej, zdaleka — krzyknął Kurp, przyjmując obronną postawę — bo cię palnę!

— To ty jeszcze chcesz mnie palnąć, ty świętokrzyski rozbójniku! Poznasz jeszcze co to pić hajduka, ujadaj tylko jeszcze.

Towarzysze Śniegurki, Kiryłło i kozacy, ujmując się za nim podnieśli się od stołu. Kwiczół wygrzebał się z pod ławy i stanął po środku izby, żeby pomagać kumowi. Jeden Borowy nie ruszał się z miejsca. Na twarzy jego malowało się wielkie niezadowolenie.

— Co to? Czy ja pies jestem, żebym ujadł? — dotknięty tym wyrazem zawołał Łopucha.

— A co? Czy on pies, czy co? — powtó-

rzył Kwiczół i pochylił głowę jak baran do walki.

— Pies — krzyknął Śniegurek.

— Tak pies, pies — zawołali za nim kozacy i hajducy.

— Lach i sobaka to jedno zwierzę — wykrzyknął Kiryłło.

Tego już było za dużo. Łopucha porwał gąsior ze stołu i rzucił nim. Gąsior rozbił się z trzaskiem o czoło Śniegurki, a hajduk upadł na ziemię zalany krwią.

Towarzysze jego rzucili się do trzeźwienia omdlałego, a inni na czele z Kiryłło już chcieli zacząć bójkę, gdy wstał z ławy Borowy i krzyknął ostro.

— Dostyc tego do stu diabłów! Jeżeli mi się który ruszy to mu kości połamię, a z kieszek kasze wytrzęsę choćby ją przed tygodniem jadł.

Hajducy spojrzeli po sobie, ale żaden nie miał ochoty rozpoczynać bójki. Znali olbrzymią siłę Borowego i wiedzieli, że umie dotrzymać obietnicy.

— Czort cię weź — rzekł Kiryłło i schował się za innych.

— Weźcie go — rzekł Kurp rozkazującym tonem. — Zanieście do domu, niech go wódką wysmarują to i zdrów będzie.

Kilku wyniosło zranionego Śniegurkę, reszta w milczeniu zasiadła ławy i na zgodę kazali podać nowy gąsior wódki.

Lopucha wypił teraz tylko dwa kieliszki wódki, trzecim przemył sobie ranę.

Kwiczół miał chęć jeszcze pić, ale ledwo połknął jeden kieliszek, zachłysnął się i zakaszłał.

— Ktoś się śpieszy, bo nam się kum tak zachłysnął — rzekł Borowy.

Usłyszano kilka bliskich, szybko po sobie następujących strzałów.

— To „diabły czerwone” — zawołał Borowy i wybiegł z karczmy.

## ROZDZIAŁ XXII.

Trzeba teraz wrócić do domku starego Przeździeckiego i zobaczyć, co tam było powodem tak nagłego zamieszania.

Ciężko ranny, złożony na łożu przez Borowego, był to młody Władysław Grudczyński, syn sławnego Jana Grudczyńskiego, wielkiego przeciwnika Augusta, a stronnika Stanisława Leszczyńskiego.

Władysław od dzieciństwa wychowywał się razem z obecną wojewodziną Działyńską. Młodzieńcza znajomość i przyjaźń przerodziła się w późniejszym wieku w wielką miłość. Zdawało mu się, że gdy jego ukochana wyszła za Działyńskiego, zapomni o niej. Nie mógł jednak. Wyjechał zagranicę i bawił tam pięć lat. Chciał zabić w sobie to wielkie uczucie. Ale stary Jędrzej, który go wypiastował na rękę i o wszystkim wiedział, powtarzał często, że „prędzej się diabeł we święconej wodzie wykąpie, niż się pan Władysław odkocha”.

Widział on jego rozpacz w dniu ślubu Działyńskiej. Władysław tej nocy nie zmu-



żył oka, ledwo się zdrzemnął, już się budził, zrywał się z łóżka i płakał jak małe dziecko. Gdy wybiła godzina, o której miał się odbyć ślub, pobiegł do kościoła i stanął w ciemnej, bocznej nawie między filarami.

Kiedy zobaczył swoją ukochaną Jadwigę, jeszcze piękniej w weselnym stroju wyglądającą niż zawsze, prowadzoną do ołtarza przez podsiwiąłego już wojewodę, zemdłał, a stary Jędrzej wyniósł go pocichu z kościoła.

Po trzech latach pożycia umarł stary wojewoda. Jadwiga była znowu wolna. Na nowo w nim odżyła uśpiona miłość. Ale znowu natrafił na przeszkody. Wojewodzina kochała się w Telembskim, bez wzajemności coprawda, bo ten obdarzał swymi uczuciami Zofię Ordonównę.

Kiedy skłócone stronnictwa zaczęły szarpać Polskę. Działyńska stanęła w obronie Augusta, a jej imię głośne się stało w całym kraju. Ojciec jego wspierał Stanisława Leszczyńskiego, Władysław bez wahania oświadczył się za Augustem i dzielnie bronił z orężem w ręku praw nieszczęśliwego króla, aż do ostatniej bitwy, kiedy ciężko ranny uniesiony został z pobojuwiska przez Borowego.

Długo leżał nieprzytomny na łóżku. A kiedy otworzył oczy ze zdziwieniem rozejrzał się po pokoju nie wiedząc gdzie się znajduje. W drugim rogu komnaty stało łóżko na którym leżał stary Przeździecki, obok stół du-

ży tureckim dywanem zastany, kanapa, przy oknie kółko do przedzenia i zegar ścienny. Na ścianach wisiało kilka obrazów, największy przedstawiał Jana Sobieskiego, rozbijającego nieprzyjacielskie hordy.

Władysław obojętnie przyglądał się tym przedmiotom, wzrok jego zatrzymał się na twarzy sędziwego rotmistrza i niewinnej Anny.

Młode dziewczę, klęcząc przed obrazem Najświętszej Maryi Panny, zanosilo gorące modły do niebios.

Władysław przyglądał się jej dłuższą chwilę, a później przeniósł wzrok na starca, który schorowany, ciężko oddychał.

— Gdzie ja jestem — pomyślał. — Tu słyszę ciężkie westchnienia starości, a tu młodość w całym rozkwicie. Tu wiosna jakby róża, co za ledwie z pączka rozkwita, a tam starość osypana szronem wieku, jakby zima, albo dąb spróchniały. A ja w sile wieku, między tą wiosną a zimą, stoję nad grobem. Kończą się moje marzenia całego życia...

— Ale jakże ja się tu dostałem? A... przypominam sobie, zostałem ranny. Kto mnie uratował. Może ona!..

Westchnął i gorzko się uśmiechnął.

— Ona? Czy ona chociaż kiedy pamiętała o mnie? A widziała moją wielką miłość, moje niezachwiane przywiązanie, moje cierpienie i rozpacz. Lecz cóż ją obchodził mój los, gdy serce innemu oddała. Ona go tak



samó kocha, jak ja ją. Mocno, gorąco, zapamiętałe. Poświęcałem się jej zupełnie. W tylu bitwach ileż razy uchroniłem ją od morderczego ciosu. A jak ona mi się za to odwdzięczyła?

— Ciesz się, ciesz Jadwigo! -- w złości zerwał bandaż z ran, a krew trysła mu strumieniem.

— Nie będę ci już natrętnym...

Anna poskoczyła do łóża rannego wojownika. Władysław konał. „Jadwigo” — było to jego ostatnie słowo i wyzionął ducha.

Anna krzyknęła ze strachu. Do pokoju wpadł leśniczy z gospodynią, chcieli jeszcze ratować. Już nic nie pomagało.

— Umarł więc — powiedział stary Przeździecki. — Niech spoczywa w pokoju, wyprzedził mnie starego — i zaczął odmawiać modlity.

Skoro Marcin dał znać Borowemu o śmierci, Kurp wszedł do komnaty, podszedł do chorego, przyłożył mu ucho do ust.

— O, umarł biedak. Niech mu przyświeca światłość wiekuista — przykląkł i odmówił trzy „Zdrowaś Maryja”.

— Szkoda go — rzekł zasmucony. Bił się dobrze i nieraz dał się we znaki „czerwonym diabłom”. Nigdy nie uciekał, zawsze na przdzie. A teraz...

Otarł łzy połą sukmany i wyszedł spiesz-

nie z komnaty, bo nie mógł już dłużej patrzeć na zwłoki tak dzielnego wojownika.

Na podwórzu brytan zerwał się z łańcucha i rzucił się na niego. Borowy złapał go w złości, zdusił i przerzucił za parkan. Krew, którą spostrzegł na swoich rękach, ulżyła mu, jakby...



## ROZDZIAŁ XXIII.

Smutny widok przedstawiała w tym czasie Rzeczpospolita. Zalana była z jednej strony wojskami szwedzkimi, z drugiej strony rosyjskimi, którzy ciągle jeszcze popierały stronę Augusta.

Zbrojne chorągwie szlachty też się podzieliły na augustowskie i stanisławowskie. Ponadto utworzyła się nowa partia pod nazwą obojętnych, na jej czele stanął Józef Potocki, wojewoda kijowski, sławny rycerz.

Liczne zastępy szlachty, a nawet wielu z pośród Tatarów weszło w skład tego stronnictwa.

Potocki nie oświadczył się początkowo ani po jednej ani po drugiej stronie. Widząc jednak, że Stanisław Leszczyński zdobywa sobie coraz więcej zwolenników, staje na jego usługi, za co w krótkim czasie otrzymuje wielką buławę. Przejście to nie tylko wzmocniło stanowisko Stanisława Leszczyńskiego, ale ostudziło w zapale nawet najgorliwszych przyjaciół Augusta.

Dotrzymywał jeszcze Augustowi wierno-

ści Śmigiełski, a zły na obojętnych, którzy na stronę Leszczyńskiego przeszli, gromił ich wszędzie i ścigał.

Właśnie na czele swoich sześciu chorągwi jechał starosta Śmigiełski, mijając Podgórze. Ze smutkiem spoglądał na dawny zamek królów polskich, na kopiec Krakusa i szczyty wież kościelnych. Tak dojechali do Mogilan, gdy usłyszał kilka strzałów. Rozkazał sformować się swojej jeździe.

Przednia straż Śmigiełskiego silnie parta już się cofała, gdy sam z dwoma chorągwiemi nadbiegł jej na pomoc. Nieprzyjaciel zatrzymał się, ale starosta nie dając mu czasu do ucieczki, zaatakował ostro i po krótkiej walce rozproszył go.

Kazał ścigać cofających się, gdy ujrzał na równinie uszykowane, liczne zastępy wojewody kijowskiego. Prawe i lewe skrzydło składało się z Tatarów, środek stanowiła jazda polska. Stali, czekając spokojnie na atak.

Śmigiełski obznajmiony w „tańcu” z Tatarami, mało cenił ich siłę, uderzył w środek i odrazu złamał cały szyk.

Wszystko w rozsypce szukało ocalenia w lesie. Sam wojewoda uciekał, ale otoczony ze wszystkich stron, został wzięty do niewoli. Obok niego, mając rannego konia, upadł chorąży. Nadjechał w to miejsce i Śmigiełski. Jeden ze szlachty, chwycił nieprzyja-



cielski sztandar i rozwinął go. Starosta ironicznie się uśmiechnął. Były na nim wyhaftowane połamane saskie miecze, a nad nimi Orzeł Polski z dumnie podniesioną głową, pod nim był napis z psalmu wyjęty: „Połamałeś, Panie, miecze nieprzyjaciół, a wyniosłeś głowę moją”.

— Mości wojewodo — rzekł do Potockiego, wskazując na napis na sztandarze — nie zawsze to prawda. Jeszcze mamy całe oręż, żeby podgalać czupryny zdrajcom i niestałym.

Wojewoda spojrział na niego i dumnie odpowiedział:

— Panie starosto! Los bitwy oddał mnie w ręce twoje, jestem więźniem, ale to nie upoważnia cię do tego, żebyś mi zuchwale urągał. Zdrajcą mnie nazywasz, a zapytaj na dworze Najjaśniejszego Pana króla Stanisława, jak ciebie tam nazywają.

Śmigielski przygryzł wargi ze złości.

— Mało dbam o to. Na języki pochlebców dworskich nie zwracam uwagi, a tyle mi na nich zależy, co memu kordowi na łbie Tatara. Niech się z nich, który okaże takim odważnym, żeby mi to w oczy powiedział. W mieście, za wałem, za murami plotki półczoszkowych dworaków może i mają jakąś wagę, ale na polu bitwy nie warto ich wspominać. Widać, mości wojewodo, że ci na dworach bardzo zależy, bo to blisko dworu

siedzisz, a może i dworską polewkę zajadasz.

Potocki nie odrzekł ani słowa, ale gdy zobaczył, że Śmigielski zwraca konia i chce odjechać zawołał:

— Panie starosto, jako więzień, mogę mieć tylko do ciebie prośbę. Wiem, że moja żona i dzieci zostały przez twoje wojska pochwycone w tym lesie. Proszę was za nimi i jako mąż i jako ojciec.

Starosta zbliżył się do wojewody.

— Żona twoja i dzieci są wolne, będziesz się z nimi zaraz widział. Przecież my nie Tatarzy umiemy uszanować niewiniątka i białogłowy. Wiem, że gdyby w twoim ręku była moja małżonka i dzieci tak samo byś postąpił, mości wojewodo.

Potocki uszczęśliwiony podał mu rękę, którą Śmigielski z szacunkiem uściśnął.

— W bitwie i w domu bądźmy zawsze rodakami, a może przyjdzie szczęśliwa godzina, że szable polskie, nieporozdzielane żadną nienawiścią na jednym polu będą walczyły.

\* \* \*

W namiocie przy małym stoliku siedział wojewoda Potocki, a przy nim stał zamyślny, rotmistrz pancerny, Wojewódzki.

— Cóż słyhać dobrego? — zapytał Potocki,

— Wszystko źle, panie wojewodo. Mają nas wydać Piotrowi Wielkiemu. Ten diabeł



w ludzkim ciele, Śmigielski, chce nas jako osobliwy podarunek jemu ofiarować. Wolałbym śmiecie w kruhcie O. O. Kapucynów przez trzy niedziele wymiatać, niż dostać się w takie pazury.

— Niestety, trzeba się z wolą Boską zgadzać, panie bracie.

— A ja przecież mówiłem, panu wojewodzie, że na licha nam było stawiać na skrzydłach tych diabłów Tatarów z mopsimi nosami i mysimi oczami. Hultaje, oni tylko do rozboju zdolni. Pierwsi uciekli i narobili popłochu. Ja czekałem ze swoją chorągwią, żeby w odpowiedniej chwili zaatakować, nie mogłem poradzić, rozpędzili moich, jak stado jeleni. O, wstyd mi, panie wojewodo, tyle mając wojska i przegrać bitwę, tego mi się nigdy nie przytrafiło.

— Widać, że takie było nasze przeznaczenie.

— Moje napewno nie. Gdybym był sam ze swoimi, jeszcze bym dobrze skórę wytatarował staroście i z niewolnikami wrócił do obozu.

Do namiotu wszedł szybko Śmigielski. Na jego twarzy malował się gniew i uniesienie.

— Zawołać mi rotmistrza Orдона — rzekł do służbowego.

Rotmistrz stanął na zawołanie.

— Wszyscy moi prędko na koń. W tej wsi — wskazał ręką — jest trzech generałów

moskiewskich, popijają sobie czaj, uderzysz na nich i weźmiesz w niewolę.

Potocki i Wojewódzki słuchali tego z wielkim zdziwieniem.

— Odtąd — mówił dalej — ogłoś waszmość moim chorągwiom, że wierne nasze służby poświęcamy teraz Najjaśniejszemu Stanisławowi I, a kto nie zechce tego usłuchać, to przewietrzy się trochę na pierwszej, lepszej gałęzi.

Ordon wyszedł szybko wykonać otrzymane rozkazy.

— Wy zaś, panie wojewodo — jesteście wolni razem ze swoim wojskiem.

— Jakaż szczęśliwa zmiana — zawołał uradowany rotmistrz.

— Poznałem teraz dopiero, gdzie prawda — zawołał z uniesieniem Śmigielski. — Szable moje tym, co się przyjacielami Augusta ogłaszali, śmierć i zemstę poniosą. Hej! wina w puchary!

Dworzanie przynieśli wino. Starosta napełniwszy puchary, podniósł swój w górę i zawołał:

— Niech żyje król Stanisław I!

— Wiwat rex Stanislaus — powtórzyła szlachta stojąca obok namiotu. Radosnym okrzykiem i wiwatom nie było końca.

Huk dział zapowiedział przejście na stronę Leszczyńskiego, najzagorzalszego przeciwnika.

Tylko Kurpie staczali jeszcze mordercze walki w obronie godności Augusta II-go.

## ROZDZIAŁ XXIV.

Z przerażeniem odebrał generał Steinflicht wiadomość o wyróżnieniu w pień przez Kurpiów — 400 piechoty i 200 jeźdźców szwedzkich w Myszyńcu.

— Nikt nie uszedł żywy z tej nieszczęśliwej walki — zapytał pułkownika Rebindera.

— Ani noga! Napadli w nocy na nieprzygotowanych.

— Jakto, nie rozumiem. Przecież, mój pułkowniku, jesteś żołnierzem. W obcym kraju żołnierz powinien być zawsze przygotowany.

— Nie bronię, generale, majora Brena, własnym życiem przypłacił nieostrożność.

— Zginął! Ale czy jego życie potrafi opłacić śmierć sześciuset walecznych. On sam za siebie zginął! Ale inni, których jemu powierzyłem. Dobra nowina dla naszego króla — zawołał z gniewem. — Spodziewam się jego właśnie lada dzień. Bo my z tym, co mamy, nie damy tym chłopom rady. Biją się jak wściekłe psy — codzień napady, codzień szarpia.



— Ale i ich ubywa — rzekł Rebinder.

— Cóż z tego, mój pułkowniku. Powiesiliśmy ich stu, a naszych tysiąc zginęło.

— Dziś, jenerale, patrol mój schwytał do niewoli pięciu Kurpiów. Czterej skończyli na sośnie. Jednego dla „języka” zatrzymałem.

— To dobrze. Każ jeńca przyprowadzić.

Wprowadzono Kurpia. Młody, wysokiego wzrostu, silny. Był to siostrzeniec Borowego. Nazywano go „Bartoszem wesołym“, albo „kurkiem“, dlatego, że we wszystkich gospodach rej w tańcu wodził i naśladował doskonale pianie koguta.

Miał ręce w tył skrępowane, włosy rozwichrzone, oczy mówiły, że dyszy zemstą i jak tylko będzie mógł pomści swoje cierpienie.

Steinflicht, który dobrze umiał po polsku, popatrzył na niego i rzekł surowo:

— Czy ty wiesz leśny rozbójniku, że cię każe zaraz powiesić.

Kurp szarpnął mocno rękami jakby chciał porwać postronki, które go krępowwały.

— Chciałbyś się na mnie rzucić ty, szatański synu — zawołał z gniewem generał i plunął mu w oczy.

— Daj ręce wolne to zobaczysz.

— A wielu was jeszcze takich zuchwałców w jamach wilczych siedzi.

— Tyłu nas jest, ile piasku na naszej ziemi — odpowiedział z pogardą Kurp.

— My ten piasek przeczyścimy, a zacznie-

my od ciebie. Powiesić go na pierwszym drzewie.

Czterech Szwedów wyprowadziło go z izby, pociągnęli do ogrodu i powiesili na starej wierzbie. Mężny Kurp nie rzekł ani słowa, nie prosił katów o łaskę, wznosił oczy w niebo i po krótkiej męczarni oddał ducha Bogu.

— Najjaśniejszy Pan — mówił dalej Steinflicht, ochłonawszy z uniesienia — ma dziś wieczorem stanąć w Ostrołęce. Za godzinę najdalej spodziewam się przybycia ośmiu regimentów i dziesięciu dział. Trzeba nam walkę rozpocząć przed jego przybyciem, gdyż nie mamy się co lękać ataku z tyłu od jazdy Śmigielskiego. On przeszedł już ze swoimi na stronę króla Stanisława. Dzięki Bogu, że tak się stało, on był przecież najgroźniejszym przeciwnikiem dla wojsk naszego Najjaśniejszego Pana.

— Zapewne jenerale — odrzekł Rebinder — on jeden i te przeklęte chłopcy niepokoiły jedynie naszego króla. Teraz łatwiej nam się już uda przepłoszyć tych niedźwiedziów z lasów.

— Według wiadomości Myszyniec zajmuje jazda i hajduki. Kurpiów tam jeszcze nie ma. Można więc bezpiecznie uderzyć i opanować miasto. Powierzam wykonanie tego zadania tobie Rebinderze i wiem, że spełnisz je jaknajlepiej i nie zawiedziesz zaufania Najjaśniejszego Pana, jakie zawsze w tobie

pokłada. Śpiesz się więc, drogi pułkowniku, bo czas krótki, trzeba nam zaczynać. Jak król nadciągnie wydusimy zupełnie tych chłopów bez butów.

Rebinder odszedł, a generał usiadł zamyślony nad mapą.

— Lasy i lasy. Tu błota, łąki podmokłe, kawałek pola i znowu lasy. Jazdy i armat trudno jest tutaj użyć. Sama piechota tylko może walczyć. Ale niedługo, mam nadzieję, że skończą się te krwawe zapasy. Bo właściwie o co się bijemy?

— Ach — rzekł sam do siebie z uśmiechem — jestem żołnierzem. Moja rzecz nie rozumować, ale słuchać i wykonywać rozkazy.

## ROZDZIAŁ XXV.

Borowy, gdy wybiegł z karczmy, gdzie pokłótni na zgodę pili, ujrzał wielkie zamieszanie w mieście. Ze stu hajduków przydzielonych do obrony Myszyńca, dopiero połowa zbiegła się na rynek. Dwie chorągwie jazdy stanęły w szyku gotowym do walki. Ale Borowy spostrzegł, że ciężka tutaj będzie przeprawa, gdyż miasto ze wszystkich stron otoczyli Szwedzi. Wrócił więc do karczmy.

— No, chłopcy — zawołał — teraz tylko Boga wzywaj, a ręki przykładaj. „Diabły czerwone” wokoło otoczyły miasto.

Strzały było słyhać coraz bliżej. Od huku dział aż karczma zadrżała, a szyby z brzękiem wyleciały.

— Żebym sto diabłów zjadł i szklanek wody się napił, tu niema co dalej popasać — krzyknął Łopucha.

Huk armat do reszty otrzeźwił Kwiczola i pijanych hajduków. Chcieli wybiegać z karczmy.

— Stójcie głupcy — zawołał Borowy — czy



jak myszy na słoninę w pułapkę leccie. Patrzcie Szwedzi już na rynku.

Piechota szwedzka już opanowała miasto. Do karczmy wbiegł zadyszany Stanisław Bąk, cięty pałaszem przez prawe ucho.

— Uciekajmy. Niemcy w mieście! Chorągwie nadworne jeszcze się biją, ale hajduków już rozproszyli.

Borowy wskazał ręką żydowski alkierz, z którego drzwi prowadziły do ogrodu. Poskoczył sam, a inni poszli w jego ślady.

Szwedzi zajmowali miasto. Chorągwie polskie wycofały się do lasu skąd celnymi strzałami osłaniali ich Kurpie.

Karol XII kazał zaatakować skraj lasu wszystkim swoim siłami. Porażka chorągwi nadwornych i Kurpiów była zupełna. Mało co uszło z rąk Szwedów.

Borowy tymczasem z trzema Kurpiami, prowadząc za sobą dwunastu hajduków stanął nad sadzawką w ogrodzie, żeby się zorientować, w którą pójść stronę.

Lopucha zbliżył się do niego.

— Kumie — rzekł wystraszony — już teraz nie ujdziemy pazurów diabelskich. Patrzcie! Przed nami i za nami szwedzka piechota, a od miasta leci jazda.

— Bogu poleć duszę, a ciałem bij diabłów — odpowiedział mu ponuro Borowy i skoczył w błoto.

Kwiczol, Bąk i Lopucha poszli za jego

przykładem, ale hajdacy już nie zdążyli, wyrabiali ich Szwedzi wszystkich.

Kurpie celnymi strzałami ratowali towarzyszków, ale czterech strzelców nie narobiło wiele szkody dwustu Szwedom.

— Z koni — zawołał do swoich podoficer Remer — wziąć ich lub zabić — i wskazał ręką na Borowego i towarzyszy, którzy się przez błota wycofywali.

Rzuciło się za nimi pięćdziesięciu Szwedów pieszo. Kurpie widzieli, że wszelka obrona daremna.

Borowy rzekł do nich cicho.

— Mierz, ale nie strzelaj, dopóki nie dam znaku.

-- Poddaj się! Pardon wołaj! — krzyczał do niego pierwszy, dobiegający Szwed.

Borowy zamiast odpowiedzi zmierzył mu w same piersi i żołnierz zwałił się w błoto.

— Do stu diabłów — krzyknął Remer. — Strzelajcie do tych wściekłych psów.

Kilkadziesiąt kul świsnęło im koło uszu. Kurpie stali nieporuszeni, ani jeden strzał nie był trafny.

Szwedzi otoczyli ich ze wszystkich stron i po kilku strzałach, powalili i skępowali powrozami.

Borowy był jeszcze wolny i bronił się zacięcie swoim kordelasem.

— Niech sam złoży kord — namawiał Borowego znajomy Węgier, co to u Bąka w chałupie nocował. — My nic mu nie zrobimy.

Borowy poznał Węgra i dlatego, gdy ten się doń zbliżył pchnął go tylko silnym ramieniem w błoto.

Kurp stał jak legendarny olbrzym. W żyłastej dłoni błyszczał mu kordelas, a strzelbę miał przewieszoną przez ramię.

Nadjechał w to miejsce i Karol XII, a ujrzawszy go krzyknął do swoich:

— Nie zabijać. Wziąć go żywcem, powiesimy lepiej razem z innymi na drzewie.

Usłyszał to Borowy, rzucił się na Szwedów, pięciu jeszcze zabił zanim go pojмали. Zwalił się jak stuletni dąb, skrzepowano go i razem z innymi poprowadzono do obozu.

## ROZDZIAŁ XXVI.

Przy rozpalonych ogniskach siedzieli żołnierze szwedzcy. W pobliżu leżeli skrzepowani, czekając na wykonanie przyobiecane-go wyroku — Borowy, Stanisław Bąk, Janek Łopucha i Kwiczół.

— No, oddamy teraz Kurpiom za swoje. Król nasz powiedział, że wszystkich musimy wywieszać. Oczyścimy te ciemne lasy—mówił wąsaty grenadier. — Żubry, dziki i niedźwiedzie swobodnie będą sobie mogły po nich bujać.

— To mi się nie podoba — powiedział Węgier.

— Masz rację — przytaknął mu podoficer Remer.—Pastwić się żołnierzowi nad bezbronnymi nie wypada. Dajcie im broń do ręki. Niech staną oko w oko, a wtedy można zobaczyć kto mocniejszy. A teraz, jak leżą skrzepowani, wieszacie? Ja umyłam od tego ręce. Topy splamiło mój honor. Do tego nie jest potrzebny żołnierz szwedzki, to samo mogą zrobić rozbójnicy.



— Tak, tak. Myśmy z królem byli u nich, dali nam jeść i przespać się, a teraz każe ich wieszać...

— Co prawda to nie grzech — powiedział grenadier. — Ja się też nie nadaję na oprawcę. Choć oni nie noszą munduru, biją się jak żołnierze.

Borowy westchnął z jękiem, bo mu sznury dolegały. Węgier zbliżył się do niego.

— Co wam dolega?

Kurp nic nie odpowiedział. Zaiskrzyły mu się tylko oczy i z gorzkim uśmiechem odwrócił głowę.

Remer zaczął wstawiać się za niewolnikami.

— Popuście postronki biedakom.

Węgier rozwiązał Borowego i Bąka, Remer — Kwiczola i Łopucha.

— No ruszajcie do ognia. Rozgrzejecie się.

Kurpie podeszli do ogniska. Węgier do był tymczasem z torby flaszkę wódki i zwracając się do Remera, powiedział:

— No, śmierć za pasem, pijmy więc!

— Dobrze powiedziałaś, mój bracie — rzekł Remer. — Dziś nie jednemu zaśpiewają: „requiescat in pace”.

Borowy przyjął flaszkę z rąk Remera, ale zaledwie ust dotknął, oddał ją z powrotem.

— Dlaczego nie chcecie pić? — zapytał Węgier.

— Bo trzeba po trzeźwemu z Panem Bogiem się pojednać.

Wiatr powstawał coraz mocniejszy. Sypał w oczy dymem i popiołem. Borowy położył się na ziemi, a przy nim jego towarzysze.

Węgier rozwiesił na krzakach grubą burkę i zasiadł pod jej osłoną wraz z Remerem.

Każdy chciał odpocząć po trudach całego dnia. Umilkły rozmowy przy wszystkich ogniskach, tylko zdala odgłosy czat i straży przerywały niczym niezamąconą ciszę nocy.

Ale Borowy nie spał. Rozmyślał jakby się wydostać z niewoli. Spozstrzegł, że żołnierze wkoło pozasypiali, jeden tylko wąsaty grenadier czuwał i bacznie zwracał uwagę w ich stronę.

Wiatr dał coraz mocniejszy, a ciemne słupy dymu z ogniska zasłaniały często niewolników przed bystrym okiem Szweda.

Borowy nie wahał się ani chwili. Przy pierwszym ostrzejszym zawiewie, skoczył, porwał Szweda za gardło i ścisnął. Twarz grenadiera zsiniała. Z martwej ręki wyrwał mu szablę, zdjął pas z pistoletami, okrył się jego płaszczem.

Wszyscy spali. Nikt nie usłyszał ostatniego jęku grenadiera. Borowy stał chwilę, żal mu było opuszczać towarzyszy, ale obawiał się, żeby nie spostrzeżono morderstwa.

Zwolna przesunął się koło ognisk do bli-



skiej puszczy, gdy w ostatnim łańcuchu straży dojrzał go, stojący na czacie, Szwed.

— Wer da — zawołał.

Borowy nie rozumiał co to znaczy, nie wiedział więc co odpowiedzieć. Przybliżył się szybko do niego i celnym strzałem z pistoletu powalił na ziemię.

Odgłos wystrzału poruszył cały obóz. Porwał się Węgier i Remer.

— Co za nowina? Tak żeśmy dobrze spali.

Remer podszedł do grenadiera, żeby go obudzić, bo myślał, że zasnął twardo, ale także było jego zdziwienie, gdy zastał trupa.

— Zabity — krzyknął z przerażeniem.

Węgier nie wyjmując z ust fajki podszedł też do niego.

— Macie rację. Trup.

Kurpie także się przebudzili. Spojrzeli po sobie. Żaden jednak nie śmiał zapytać drugiego, gdzie jest Borowy.

Ale bystry wzrok Węgra dostrzegł, iż jedynego brak.

— A gdzie jest ten duży chłop — zapytał.

— Nie wiemy — odpowiedział Kwiczol.

— To on takich breweryj narobił.

Remer spostrzegłszy ucieczkę Borowego dosiadł konia i z sześciu jeźdźcami poskoczył w stronę, gdzie usłyszał strzał.

Węgier, teraz już ostrożniejszy, związać kazał jeńców i postawił silną straż. Sam po-

szedł zameldować o tym wypadku starszemu, przeklinając w swoim języku przez całą drogę.

W gęstym lesie przez który przedzierał się teraz Borowy było jeszcze ciemniej. Zatrzymywał się od czasu do czasu, natężał słuch czy nie usłyszy pogoni.

Zmordowany położył się w gąszczu, nabił wystrzelony pistolet, przyłożył ucho do ziemi.

— Gonia, ale prędzej uchwycą samego Twardowskiego, aniżeli mnie.

Podbiegł w lewo, a dostawszy się na wąską drożynę zwolnił kroku. Noc zaczęła się przejaśniać. Blade promienie księżyca przedzierały się przez liście odwiecznych dębów i konary grubych sosen.

Wyszedł na pole, wszedł na wzgórze porośnięte jałowcem, skąd ujrzał cały obóz Szwedów. Palily się wielkie ogniska, a luna ich odbijała się o krzaki i drzewa. Widział w obozie poruszenie i kilku jeźdźców cwałujących w kierunku, gdzie zastrzelił Szwe-  
da.

— Napróżno konie mordujecie — pomyślał. — W lasach już teraz Borowy jest panem.

Zeszedł ze wzgórzka i poszedł w kierunku światła, które dochodziły ze wsi.

Zastukał mocno w drzwi chałupy Bąka.

— Kto tam?

— Swój, swój, Małgosiu!



— Święta Małgorzato, przecież to nasz kum.

Wszedł Borowy.

— A mój Staśko?

— U Szwedów, bo tylko jeden Borowy uszedł z diabelskich pazurów.

— O, najśłodsze imię Jezus! Co się z nim stało. Może go zabili — i zaczęła płakać.

— Nie zabili, ale zamordują, jeżeli nie damy szybkiej pomocy. Zawołajcie Jaśka.

Małgorzata pobiegła po syna. Borowy zdjął strzelbę, przekręcił i nabił.

Nie jeden tur i niedźwiedź, ani jęknął jak mu dałem połknąć kawałek żelaza. I Szwed ani westchnie jak Borowy świśnie kulą.

Jaśko nadbiegł zadyszany.

— Mój tatusiu, mój tatusiu. Może go już zabili.

— Chłopcze tu żal nie pomoże. Trzeba ratować przy Boskiej pomocy. Ruszaj przedko do Dąbrowy. Niech na gwałt uderzą w dzwony. Ja tam zaraz nadbiegnę.

## ROZDZIAŁ XXVII.

W małej, ustronnej wiosce nad Omulewem, odbywało się wesele młodego Janka Bartnika. Brzmiały skrzypce i basy.

Panna młoda według dawnego zwyczaju siedziała na dzieży, gdzie chleb zaczyniają, okrytej białym płótnem. Dziewczęta wybrane na druchny, rozczesywały jej warkoczce i nuciły żalosnym głosem:

*„Zakukała kukułeczka na wieży  
Zapłakała Marysieczka na dzieży  
Zakukała kukułeczka na Bugu  
Zapłakała Marysieczka przy ślubu...”*

Odgłos bębnowy przerwał śpiew i zabawę. Kobiety wystraszone pochowały się do komory. Mężczyźni zabierali się do obrony. W tym wpada Jaśko.

— Nie uciekajcie. Stójcie no, cicho. Zabawcie tu „czerwonych diabłów”, a ja dam znać swoim i Borowemu.

— To żyje Borowy! — zawołali chórem.

— Nie bójcie się, on nas wybawi z każdej biedy.



Jaśko po drabinie wszedł na poddasze. Wydarł kilka snopków z poszycia i przysiadł przy samym kominie.

Do wsi zbliżała się kompania Szwedów. Bębny z wolna wybijały takt marsza. Obok nich jechało ośmiu szlachciców polskich, stronników Leszczyńskiego, którymi dowodził osiawiały Jordan.

Gwar i muzyka, dochodząca z chaty, zachęciły Szwedów do zatrzymania się.

— Tu — rzekł Jordan — zatrzymamy się. I posilimy się prędzej i popijemy czegoś.

Müller, kapitan szwedzki, usłuchał tej rady. Żołnierze zostali na podwórzu, a kapitan z dwoma oficerami i szlachtą polską weszli do izby.

— Coś tu dobrze pachnie — zawołał wachając Jordan — Czuć krupniczek weselny. O, to wyborny truneczek, dajcie go nam.

Marszałek weselny przyniósł wielki gąsior zachwalanego krupniku. Jordan przyłożył doń nos sino-czerwony, jak u indora, i ruszając wielki wąsami mówił:

— Ma niezły zapaszek. Spróbujemy — nalał szklanekę i połknął odrazu, a zwracając się do kapitana. — Kapitanie, przewyborny i wódka jest dobra, ale tu miodek osłody i smaku dodaje. A nie macie co tam, moi kochani druzbowie, do zasilenia głodnego brzucha. Mój nos czuję tu jakiś groch, niby gęś, niby prosię, niby kaczkę.

Przysunął się do komina, gdzie na miskach stały potrawy przygotowane dla weselników i wyciągnął gęś pieczoną i dwoje prosiąt.

— Bodajto wesele. Patrzcie, jaki tu dostatek wszystkiego. Widać, że nas szczęśliwa gwiazda prowadziła, bo mamy i co zjeść i co popić. Nie prawda, kapitanie?

Ale kapitan Müller, rozgrzany już krupnikiem wszedł z dwoma oficerami do komory gdzie się ukrywały niewiasty, i nie słyszał pytania Jordana. W komorze było kilka przystojnych, młodych dziewcząt, chciał z nimi bliżej się poznać, ale tylko kilka polskich wyrazów umiał. Zaczął rozmowę, ale widząc, że go nikt nie rozumie, rozgniewany i rozmarzony trunkiem porwał silnie za rękę pannę młodą, a nie zważając na jej krzyk ciągnął za sobą.

— Jakto? — Czy pozwolisz, waszmość, na to — zapytał Jordana, jeden z jego towarzyszy, Radwan. — Czyż i w naszych oczach moja dokonywać gwałtów i rozbojów?

— Daj spokój, mój bracie — odpowiedział Jordan, nasuwając czapkę na ucho. — Za krew chłopską nie warto się ujmować. Bić się z nim przecież nie będę, a ona jak się wykrzyczy, to i da pokój.

Radwan nie mogąc dłużej patrzeć na tę bezczelność, z jaką bezbronną dziewczynę ciągnął do drzwi kapitan, zawołał:



— Puść ją, kapitanie, dopóki proszę — i dobył szabli. Müller na odpowiedź uderzył go nogą w pierś.

Za taką zniewagę dostał kapitan szabłą między oczy i zwał się, zalany krwią. Żołnierze widząc swego dowódcę rannego wpadają do izby. Jeden z nich bagnetem atakuje Radwana, ale widzi, że nic mu nie poradzi, bo każdy jego cios ten odparowuje dzielnie szabłą, zmierzył i strzelił. Szlachetny Radwan pada trupem.

Śmierć jego rozjątrzyła do reszty szlachtę i Kurpiów. Jaśko nie mogąc się doczekać, zsunął się z dachu i pobiegł pędem na spotkanie Borowego.

A w domu, gdzie jeszcze przed chwilą brzmiała muzyka i radowali się wszyscy, słychać teraz było jęki, szcęk szabel i gęste wystrzały. Kurpie wraz ze szlachcicami radzili sobie jakoś z przeważającą siłą Szwedów.

Tylko Jordan ze strachu, żeby go nie zastrzelono, schował się pod ławę i przykrył się trupem jednego ze Szwedów.

Niewiasty, między którymi pozostało dwóch oficerów, zamknęły komorę, a ochłoniwszy z przestachu, powięzły pijanych, wyniosły do stawu i potopiły.

Borowy ze swymi, prowadzony przez Jaśka w porę nadciągnął. Trzydzieści strażaków powaliło odrazu trupem trzydziestu Szwedów. Przestraszeni niespodziewanym na-

padem, bez oficerów, nie wiedzieli co dalej począć.

— Morduj bez litości — rozległ się grzmiący głos Borowego.

A posłuszni Kurpie dopełnili ściśle rozkazu. Wymordowano wszystkich bez względu na prośby, jakie zanosili. Dobito i Müllera.

Jordana razem z zabitym Szwedem, który mu za taras służył wyciągnięto na środek izby.

— Coś ty za jeden — zapytał go Borowy.

— Ja... ja... ja jestem sobie szlachcic na wasze usługi — wyjąkał ledwo, a nos ze strachu zajaśniał mu buraczkową czerwonością.

— To nasz niby dowódca — zawołał ranny Bończa. — On to był powodem tej walki i śmierci walecznego Radwana. Warto by mu dać napomnienie.

— A weźta no go chłopcy — krzyknął Borowy. — A że to pan szlachcic, rozłóż sukmanę.

Rozkaz wykonano mimo, że Jordan zaklinał się, że zawsze kochał i kocha Najjaśniejszego Augusta, że służył jego sprawie, napróżno wzywał na pomoc zmiłowania niebieskiego. Kazał mu odliczyć pięćdziesiąt przypiekanych „boćkowskich” kańczuków. Omdlał i ochrypl z krzyku i boleści, ale nie długo otrzeźwiał, zlany kilkoma wiadrami zimnej wody.

— Wsadzić i przywiązać go do konia —

zawołał Borowy. A gdy już Jordana przymocowano do siodła, zbliżył się Kurp, zaciął silnie konia, który galopem popędził do lasu. Z wielkim wysiłkiem zdołał zahamować Jordana narowną szkapę.

— O, jakim sodalis Marianus — rzekł z gniewem, ocierając pot z czoła. — Nie zapomnę tej krzywdy, pomszczę się srogo. A moi panowie bracia zamiast ratować z tego kweresu, to bij zabij na swego dowódcę. Niczego mi jednak tak nie żal, jak tej smacznej gąski, tym bardziej, że i było czym popić...

Westchnął z żalu boleśnie.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Na czele swojej garstki Kurpiów udał się Borowy przez lasy, spiesząc w nadziei, że uwolni swoich od niechybnej śmierci. Stał na tym samym wzgórzu jałowcowym z którego i wczoraj obserwował.

Obóz szwedzki w tym samym pozostawał miejscu. Tylko czaty i straże były dzisiaj wzmocnione.

Spostrzegł, że w ich kierunku podąża jeździec szwedzki. Nakazał swoim ciszę, zabronił strzelać, żeby żywcem ująć Szweda.

Jeźdźcem był nasz Węgier, który wiozł właśnie rozkaz Karola XII do Myszyńca.

Węgier palił swoją krótką fajkę, co i raz dawał ostrogę swemu kasztanowi. Przejechał linię straży i wjechał w ciemny las.

Zwolnił trochę, bo mu fajka zgasła. Koń stanął, nie chciał dalej iść. Dał mu ostrogę. Kasztan stanął dęba.

Ze wszystkich stron podnieśli się Kurpie. — Panno łaskawa — zawołał przerażony. Borowy wziął go za kark, podniósł w gó-



rę jak szklanekę wódki i postawił na ziemi. Spojrzał mu w oczy.

— A to nasz poczciwy Niemiec. Znamy się podobno.

Węgier powoli przyszedł do siebie.

— Prawdę mówicie — zaczął. — Razem, żeśmy spali, razem wódkę pili. Ale wyście biedy narobili, jak nam uciekli.

— A gdzie nasi? — zapytał groźnie Borowy.

— Już oni sobie nie poradzą. Wielu żołnierzy ich strzeże.

— Prowadź nas! — krzyknął w uniesieniu. — Zobaczymy kto mocniejszy.

Węgier spojrzał na niego z podziwem.

— Jak każecie, dobrze, ja pokażę, gdzie trzymają.

Nabił fajkę, skrzesał ognia, zapalił.

— Jaśku — zawołał Borowy. — Weźcie tego konia, zaprowadźcie do chaty i pilnujcie.

Węgier nie chciał oddać swego ulubionego wierzchowca.

— Ja wam nie podaruję konia.

— Myślisz, że cię będziemy prosili — krzyknął Borowy, a tak go mocno strząchnął, że Węgier i lejce wypuścił i fajkę zgubił.

Jaśko dosiadł kasztana i pędem ruszył.

Węgier rozżalony stratą, zaczął narzekać.

— Kiedyście wzięli mego konia, mego jedynego przyjaciela, to ja was tam nie zaprowadzę.

Borowy podniósł zaciśniętą pięść, a Węgier już potulnie dokończył:

— Ja was już zaprowadzę, tylko dajcie mi spokój.

Dwóch Kurpiów wzięło go pod ręce. Borowy z wymierzoną strzelbą szedł z tyłu. Zniknęli wszyscy w ciemnym lesie.

## ROZDZIAŁ XXIX.

Pod ścisłą strażą leżeli skrepowani Stanisław Bąk, Kwiczół, Łopucha i 300 Kurpiów wziętych do niewoli. Kilka szubienic wznosiło się wkoło, obok stał wóz załadowany powrozami do wieszania jeńców. Nikt się nad nimi nie litował.

— Janku — rzekł cicho Bąk — czy nie możnaby prosić, żeby popuścili trochę postronków. Przetarły mi ciało, krwi pełna sukmana.

— Tak, tak, prosić tych diabłów, co litości nie mają. Teraz, jak Borowy uciekł, to jeszcze lepiej nas skrepują.

— Mój kumie — rzekł Łopucha — ostatnia godzina już bliska, żeby choć księdza dali, coby grzeszną duszę oczyścić.

— Czego ty pragniesz od tych Kalwinów. To przecież są Lutry, bezbożne syny, oni tego nie znają. A jakbyś ich prosił toby tylko wyśmieli poczciwego katolika — mówił Kwiczół. — Nawieźli postronków z miasta na nas, co leżymy bezbronni jak barany. O, żebym

miał moją „jordankę”, każdy postronek przestrelałbym katowi...

W obozie nagle powstał ruch. W pobliżu słyhać było strzały. Szwedzi rzucili się do broni.

Węgier prowadził Borowego i towarzyszy skrytymi ścieżkami do miejsca, gdzie leżeli skrepowani Kurpie. Pierwsze straże, znając Węgra, przepuścili ich bez zatrzymania, ale drugie spostrzegły już podstęp. Borowy nie namyślając się, otwarcie uderzył, rozbił strażę z łatwością i odnalazł uwięzionych braci.

— Rozcinać postronki — zawołał do swoich — a który wolny niech ucieka w lasy, tam się zobaczymy.

Sam skoczył do Stanisława Bąka, rozciął więzy, a wskazując bliskie krzaki rzekł do niego:

— Staśku, w imię Boskie. Weźta nogi za pas i w nogi. Pocieszcie swoją Małgosię i Jaśka. A jeżeli zginę, pomódlcie się za mnie czasem i dajcie na Mszę świętą...

Stanisław uścisnął mu rękę i pobiegł we wskazanym kierunku.

Na odgłos strzałów ze wszystkich stron rzuciła się na Kurpiów piechota i jazda szwedzka. Kto mógł ratował się ucieczką. Borowy, Kwiczół, Łopucha, i wielu innych zostali wzięci do niewoli.

Karol XII, rozgniewany tą zuchwałością, chłopów bez butów, jak ich nazywał, wydał



na wszystkich wyrok śmierci i rozkazał, aby jeden drugiego wieszał. Major Rumler, znany z okrucieństwa, wyznaczony został do wykonania wyroku. Na czele dobranych siepaczy stanął między Kurpiami.

— Ten wielki chłop — zawołał, uderzając Borowego w twarz — nadaje się na rzeźnika. Rozwiązać go, niech wiesza zaraz drugich.

Borowy westchnął ciężko. Oczy nabiegły mu krwią. Rozwiązano powrozy.

Kurp rzucił się bez wahania na Rumlera. Uderzył go pięścią w skroń tak silnie, że ten padł trupem na miejscu. Roztrącił strażę, zrzucił jeźdźca z konia, dosiadł go i popędził do lasu.

— Strzelaj, strzelaj! Ognia do niego — wołano ze wszystkich stron.

Huknęły strzały. Dwie kule trafiły Borowego. Pociemniało mu w oczach. Czuł jak opada na siłach. Schwycił konia za grzywę. Zachwiał się. Skonał. Ale ręce tak mocno zacisnęły się przy grzywie, że spłoszony koń ciągnął trupa za sobą.

Śmierć Rumlera i ucieczka Borowego nie zmieniły losu Kurpiów, musieli się nawzajem wywieszać.

O pół mili od tego miejsca, pokazało się z lasu kilkunastu hajduków, a z boku chorągwie nadworne wojewodziny.

Nagle z pośród krzaków wypadł koń i biegł prosto na hajduków.

— Pfu, na psa urok — zawołał, spluwając hajduk Brzoza.

— A widzisz no go? — i pokazał Jankowi Sikorze, co stał najbliżej.

— Ten koń może po którym zabitym z naszej chorągwi?

— Tak to koń przecież widzę, ale co się przy nim wlecze?

— A dalibóg, że prawda — krzyknął zdziwiony Sikora. — Co za kaduk?

— Strach chyba — rzekł Brzoza i zmierzzył z rusznicy.

— Nie rób tego głupstwa, jeżeli to diabeł kula się go nie imie. Lepiej byłoby go złapać, może co znajdziemy.

Usłuchał rady Brzoza. Obserwowali konia, który zmęczony biegiem i ciężarem upadł niedaleko.

— A co to za diabeł leży, ani się ruszy.

— To zabity człowiek.

— A może upiór?

— Gdzieby tam, upiór nigdy nie jest bładny, zawsze czerwony i żyje.

— Prawda, upiór nie leciałby piechotą przy koniu, wołałby sobie jechać.

Przypatrywali się trupowi, aż Sikora zawołał:

— Święty Bonifacy, przecież to Borowy, nasz gajowy. Ale jak się zmienił. Cały zasasypany piaskiem. Mój Boże, kto by przy-

puszczał, że ten człowiek zginie. On by i samego diabła pobił.

— Przyszła kryska na Matyska. Kto czym wojuje, od tego ginie. Ale szkoda go. Nieraz wlał za kołnierz gorącego ukropu „czerwonym diabłem”.

— A oni teraz nam naleją — odpowiedział Brzoza. — Kurpiów rozbili. Wielu ich zginęło. Nawet Borowy. Sam ich król, co diabłu sprzedał duszę, niedaleko stoi. Nasza garść hajduków i trochę jazdy nic nie znaczy. Chyba diabłu trzeba sprzedać duszę, żeby nam swojej pomocy udzielił.

Sikora tymczasem odpiął mantelzak, znalazł w nim mundur, dwie podkowy, kilka nabojów, szczotki i szydło.

— Do diabła — zawołał rozgniewany — ani szeląga nie ma. Gdzie się podziewają te pieniądze, które codzień rabujemy.

Brzoza przejrzał uważnie swój mantelzak i znalazł trochę dukatów i srebra, podzielili się tym.

— No—rzekł—teraz wartoby zanieść Borowego do obozu, żeby mu ksiądz zaśpiewał i pochował w świętej ziemi. Chociaż przed śmiercią napewno u spowiedzi nie był.

— Dobrze, tylko mu oderwij ręce od grzywy.

— Gdzie tam oderwiesz mu palce, mocno trzyma.

Wyjął palasz i odciął grzywę.

— A z koniem co zrobimy?

— Niech zostanie i tak pewno niedługo zdechnie. Podnieść się nie może.

Uszli kilkanaście kroków, a już Szwedzi dopuścili atak ze wszystkich stron.



## ROZDZIAŁ XXX.

Wojewodzina Działyńska już przyszła zupełnie do zdrowia, chociaż ból w nodze jeszcze jej dokuczał.

Siedziały w komnacie z Zosią Ordonówną, która przędała na kołowrotku.

Wszedł Jan Huczko pacholek Telemskiego.

— Cóż nowego przynosicie, mój Janie — zapytała z radością Zosia. — A gdzie pan?

— Mój pan niedługo przybędzie. Zatrzymał się tylko na pogrzebie rotmistrza Przeździeckiego, który w dwa dni po zgonie młodego pana Grudczyńskiego, skonał. Mój Boże, co też tam było płaczu. Została tylko jedna córka, młoda jak gołąbeczek. Matki już dawno niema, a teraz i ojca straciła. Ale pogrzeb odbył się suto, z paradą. Wielu było księży. A gdy trumnę spuszczone do grobu, strzaskali jego herbową tarczę, bo umierał nie zostawiwszy syna, ostatni ze swego domu i herbu dziedzic.

— Więc młody Władysław umarł — rzekła wojewodzina. — Niech spoczywa w pokoju. Ojczyzna straciła w nim jednego z najdziel-

niejszych obrońców. Był to mój przyjaciel od dzieciennych lat. Wiele się nacierpiał...

Do komnaty wpadł podstarości i zameldował, że Szwedzi opanowali Myszyniec, osadę zabrali, a Kurpiów co biegli w pomoc rozbili. Są już niedaleko.

— Kto przyniósł tę wiadomość? — zapytała Działyńska.

— Ranny hajduk, co uciekł z Myszyńca. Czy ma się zameldować?

Wojewodzina skinęła głową na znak, żeby przyszedł. Podstarości wprowadził hajduka Grzędę, który miał rozciętą głowę i przestrzealoną rękę.

— Cóż nowego przynosicie? — zapytała Działyńska.

— Wszystko złe. „Czerwone diabły” są tylko o dwie mile. Myszyniec zajęli.

— A mój rotmistrz Puchała z dwiema chorągwiami.

— Ranny i wzięty do niewoli.

— A hajducy?

— Co do nogi wycięci. Może trzech lub czterech się uratowało. Zginął i Śniegurek.

— A Borowy, gdzie się obraca?

— Borowego, jak tura powalili na błotach. Może i zginął. „Czerwone diabły” chcą wywieszać wszystkich Kurpiów, bo tak im rozkazał ich król.

— Boże Wszechmocny! — zawołała Działyńska.



Na podwórze zajechał Telebski i kilku jezdnych, którym udało się ująć żywo z pod Myszyńca.

Wszedł do komnaty, przywitał wojewodzinę i Zosię.

— Panie Stanisławie, czy wiecie? — zapytała Działyńska.

— Już wiem wszystko. Jesteśmy sami. Wszyscy nas opuścili, nawet Śmigielski. Sami jesteśmy, ale póki ręka żywa i kord może trzymać, lepiej zginąć niż haniebnie zdradzić.

— Co spowodowało starostę do przejścia na stronę naszych wrogów?

— Co? Duma i próżność. W bitwie schwytał Potockiego z rodziną i chciał go osobiście oddać Piotrowi Wielkiemu. Książę Menżykow, naczelny generał wojsk posiłkowych Augusta oparł się temu. Śmigielski przeszedł wtedy na stronę Szwedów i przyjął służbę u nowego króla. Grozi nam niebezpieczeństwo ze wszystkich stron, dlatego śpieszyłem, aby czasu daremnie nie tracić. Pozwoli, pani wojewodzina, że ją wyręczę w rozporządzeniach. Hajduki niech staną pod bronią i wyruszą do „mogiły upiora”. Chorągwie nadworne żywo na koń. Zapalić ognie na znak trwogi. Po wsiach uderzyć na gwałt w dzwony.

Podstarości wyszedł wykonać rozkazy. Zofia z uwagą słuchała Telebskiego.

— Mój Janie — wojewodzina zwróciła się do

pachołka — powiedźcie księdzu kapelanowi, ażeby pobłogosławił nasze chorągwie. Może to już dla nich będzie ostatnie błogosławieństwo...

Doznane klęski, widok Telebskiego, którego tak bardzo kochała, zbyt ją wzruszyły: płakała jak dziecko. Ale gdy wszedł dworzanin i zameldował, że wszystko gotowe, wrócił jej dawny spokój z powrotem.

— Podaj mi hełm i zbroję, a konia niech wyprowadzą na dziedziniec.

Telebski, chociaż zajęty rozmową z Zosią usłyszał ostatnie słowa.

— Jakto, pani wojewodzino, chcesz się na nowo narażać. Zostaw nam tę wyprawę. Rana zapewne jeszcze dolega.

— O, rana moja — rzekła ze smętnym uśmiechem — nigdy się nie zagoi i zawsze będzie dolegała. A walka ta, kto wie, czy nie będzie ostatnia. Karol XII sam dowodzi.

— Tym lepiej. On ma większe siły, a my większe męstwo. Ale czas nagli. Trzeba uprzędzić naszych wrogów, żeby nie śmieli zajrzeć w lasy. Bądź zdrowa moja kochana Zosiu. Bóg dobry ziści nasze nadzieje. Zobaczymy się jeszcze.

Ucałował serdecznie Zosię. Wojewodzina kładąc hełm, i widząc to, prędko otarła łzy, które znowu napłynęły jej do oczu.

Bądź zdrow, bądź zdrow — były ostatnie słowa Zosi, gdy Telebski, wyrывая się z jej objęć, pobiegł na dziedziniec.



Stały tam już chorągwie nadworne, hajducy i kilkuset Kurpiów. Działyńska ukazała się na ganku, powitał ją radosny okrzyk.

Kapelan odmówił krótką modlitwę i pobłogosławił wojowników.

— Ufajcie Bogu! Niech was nie przestrasza liczba nieprzyjaciół. Zwalczycie ich za Jego świętą pomocą. Ufajcie Bogu! On wespierze wasze ramię i doda siły orężowi polskiemu, co w słusznej sprawie dobyty w obronie wiary, Ojczyzny i króla.

Przeżegnał krzyżem.

Zagrzmiały kotły i bębny.

## ROZDZIAŁ XXXI.

W kaplicy zapalono świece. Na środku stała trumna ze zwłokami, poległej w morderczej walce, wojewodziny Działyńskiej.

Telemskiemu kula armatnia oberwała nogę, konającego przywieziono do zamku.

Jak Huczko złożył swego ukochanego pana na stole i bandażował mu rany. Telemski leżał nieprzytomny.

Do komnaty weszła Zofia. Osłupiały wzrok wlepiła w oblicze rannego.

Telemski rzucił się jeszcze na stole, coś krzyknął i skonał.

Zosia nie uroniła ani jednej łzy. Stała jak posąg wykuty z marmuru.

Usiadła w wielkiej sali przed zwierciadłem i zaczęła spokojnie splatać rozpuszczony warokocz. Huczko stał w kącie i płakał, jak dziecko.

Zosia zanuciła słabym głosem:

*„A czego płaczesz, czego żałujesz*

*Dziewczyno moja*

*Jak nie mam płakać, nie mam żałować.*

*Nie będę twoją”.*

— Czego ty płaczesz, mój Janie. Nie płacz. Nie płacz i tobie też zaśpiewam.

Zosia z tego nagłego wstrząsu dostała pomieszania zmysłów.

— Ale, co ja ci zaśpiewam. Aha, już wiem, to co mój Stasio najlepiej lubi.

Huczko na wspomnienie swego ukochanego pana znów głośno zaczął płakać.

— Janie, Janie.

Podszedł pacholek.

— Mój Janie, przynieś mi tych białych kwiatów, co tak gęsto rosną w ogrodzie — i pokazała na śnieg, który grubą warstwą okrywał ziemię.

— Nie mógł dłużej wytrzymać przywiązany pacholek, wybiegł z komnaty.

W kaplicy zamkowej brzmiały pienia żałobne. Wniesiono i drugą trumnę Telebskiego. Nie było tłoku. Podstarości, Huczko, kilku dworzan i kilka kobiet składało się na cały kondukt.

Wojownicy z nadwornych chorągwi, hajducy, mężni Kurpie albo wyginęli albo ukrywali się po lasach.

Spuszczono trumny do grobów. Rzucono grudki ziemi. Opustoszał cmentarz. Jan tylko klęczał przy grobie i zalewał się łzami.

Noc była jasna. Księżyc świecił. Usłyszał skrzyp wozu po śniegu. Dwuch Kurpiów zdjęło trumnę z wozu, a kobieta z płaczem podążała za nimi. Poznał odrazu Stanisława Bąka, żonę i Jaśka.

— Komuż to oddajecie chrześcijańską posługę?

— To nasz poczciwy kum Borowy. On mnie uwolnił od śmierci, a „czerwone diabły” jego zamordowały. Ciało tyrało się po piasku, księdza nie mogliśmy nigdzie znaleźć, pogrzebiemy sami.

— Nasza pani wojewodzina i mój pan kochali go. Przy nich niech spoczywa. Tu mu wykopimy mogiłę.

Wykopali grób, spuścili ciało, zasypali ziemią.

— A światłość wiekuista niechaj im świeci. Na wieki wieków. Amen — skończyli razem modlitwę.

— No, bywajcie zdrowi — zawołał Bąk. — Nie mamy chaty, wszystko spalili „czerwone diabły”. Dobrze, że chociaż człowiek przy życiu został.

— Gdzie teraz pójdziecie?

— W nasze lasy, gdzie nas oczy poniosą. Aby nas nie zwietrzyły te psy gończe. Bywajcie zdrowi. Strzeżcie się Szwedów, bo i do zamku niedługo zajrzą. Nikt im się teraz nie oprze, gdy tych dwoje zginęło.

— I ten trzeci — dokończył Jan — cośmy go dopiero pochowali.

„Niech spoczywają w pokoju”.

KONEC.





## BIBLIOTEKA DOBRYCH KSIĄZEK

w serii pierwszej wydała dotychczas  
następujące powieści:

- M. A. d'Arwor — BEZDROŻA.  
Janina M. Chojecka — OPETANCY.  
Adam Czekalski — DZUNGLA.  
— LUNY NAD HISZPANIĄ (2 tomy).  
— REKORDY.  
Kazimierz Gliński — KLESKA.  
Pierre l'Ermite — KOBIETA Z ZAMKNIĘTYMI OCZAMI.  
Wanda Grochowska — BIAŁA RÓŻA.  
Cz. Xawery Jankowski — STO PROCENT.  
— SIEĆ Z CZERWONEJ PRZĘDY.  
— ŚLIMAKI.  
Klemens Junosza — POD WODE.  
— CZARNEBŁOTO.  
— PAJAKI  
Leduic — BEZ ROZGŁOSU.  
Michał Marczewski — DWA ŚWIATY.  
Wanda Miłaszewska — KACZĘTA.  
Antoni Skrzynecki — WIERZE.  
Jan Szczepkowski — PRZEZ PRERIE I PUSZCZE.  
Zofia Topińska — NA ZATRACENIE.  
— ZASZUMIAŁY DĘBY.  
Kardynał Wiseman — FABIOLA (2 tomy).  
Jan Wszebor — GŁOS KRWI I ZIEMI.  
Janina St. Zakrzewska — PO BURZY SŁOŃCE.  
Jadwiga Ziółkowska — FALE BAŁTYKU (2 tomy)  
Konstanty Żuk — BYŁEM KOMUNISTA.  
Stanisława Żurawiecka — POGODNY LOS.

Cena Każdego tomu zł. 1.

Do nabycia we wszystkich lepszych  
księgarniach w całym kraju.



6a -

542205/22673



Biblioteka Główna UMK



**300020638434**